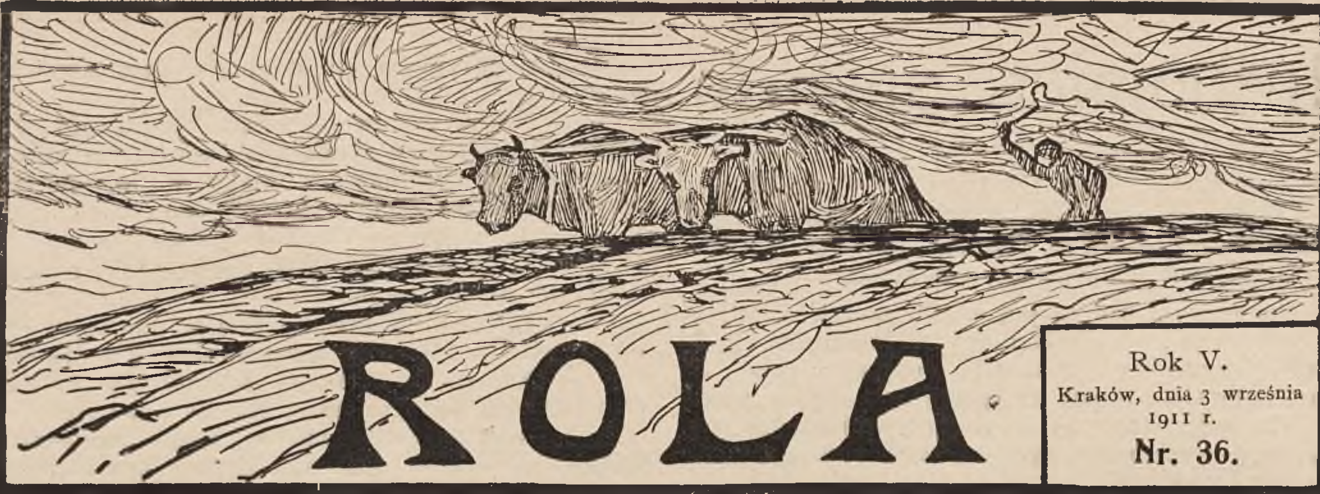


Rok V.
Kraków, dnia 3 września 1911 r.
Nr. 36.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Klasztorek w puszczy.

Z wiru życiowych walk i pogromów
Uszedłszy w puszczę chory i złamany,
Szukałem w piaskach, śród skał załomów,
Spoczynku dla mej duszy znękanej.
Szukałem sobie jaskini w skałach,
Gdziebym z daleka od gwaru świata —
Po walkach, klęskach, życia upałach,
Zaznał spoczynku na stare lata.

Znalazłem miejsce – dziękować Niebu —
Dla pustelnika jakby stworzone:
Na prawo Synaj i szczyt Horebu,
W lewo, za puszczą — Morze Czerwone, —
Tu spokój wreszcie! Tu w oddaleniu,
U tych biblijnych szczytów podnoży,
W ciszy, modlitwie, w ducha skupieniu,
Spędzę mój żywot na służbie Bożej.

Tutaj — od świata całkiem odcięty —
Znajdę spoczynek w cichej ustroni...
Wszakże tu Paweł, pustelnik święty
Mieszkał — a po nim święty Antoni.
Tak dumam. A w tem — czy słuch mnie myli?...
Dzwonienie słyszę!... Melodya cudna!..
Wyraźnie dzwonek na jutrznię kwili?...
Lecz gdzie?... skąd?... wszak tu puszcza bezludna!

Jakże do dzikiej pustyni środka
Dochodzi dzwonków to świegotanie?...
Skądże tych śpiewów melodya słodka?...
I skąd to cudne organów granie?...
Dziw! dziw nad dziwy!.., Czy słuch mnie łudzi?...
Wszak wokół nigdzie istoty żywej...
Ni wież kościelnych!... W puszczy — bez ludzi
Skąd to dzwonienie, granie i śpiewy?!...

I tak dzień po dniu przerywa ciszę
Ukrytych dzwonków dźwięk nieustanny...
I tak dzień po dniu o brzasku słyszę
Godzinki na cześć Najświętszej Panny,
Potem litanię — znowu w południe
Słyszę dzwonienie na Anioł Pański...
I znow organy zagrają cudnie,
I znowu płynie ów śpiew niebiański...

Skąd to?... i jaka temu przyczyna?...
Próżnom rozmyślał. Aż dnia pewnego
Dziwy ja słyszę od Beduina,
Co się do miejsca zapędził tego:
— Wiedz — rzecze do mnie: — w tej puszczy skalnej
Jest pustelników klasztorek mały;
Jest – ale dla nas on niewidzialny...
Sam Bóg go ukrył pomiędzy skały!

Jest – lecz go święci Anieli strzegą
Przed okiem ludzi grzechem skalanych...
Jest – ale wejście, lecz wstęp do niego,
Tylko dla ludzi Bogu oddanych.
I ten doń tylko trafi w pustyni,
Komu wyroki Nieba łaskawsze,
Kto Go szukając, ten ślub uczyni:
Zostać w klasztorku onym... na zawsze!

Więc: chcesz?... ślub uczyń — a znajdziesz drogę.
I już na bystrym siedząc rumaku:
Znajdziesz — dorzucił — gdyż ja nie mogę.
I w piaskach puszczy przepadł bez znaku.
Ja chwilę za nim patrząc w pustynię,
Serce i rękę ku Niebu wznoszę,
I uroczysty Bogu ślub czynię:
— Zostanę – zawsze, lecz wpuść mnie — proszę!

W tem... żali w oczach moich się dwoi?...
Trzon skał się nagle — jak mgła rozprasza,
Spojrzę — przedemną klasztorek stoi...
Furta otwarta: wejść — mnie zaprasza.
Więc wszedłem. W progu klękam w pokorze:
— Panie! Ty śluby przyjąłeś moje;
Gdy tu przed światem skryłeś mnie Boże,
To i przyjm teraz na służby swoje.

Jacek Obrochta.

W dniu św. Augustyna 28 sierpnia 1911.

Rozbójnicze gniazdo.

IX.

Przy rannych. — Poszukiwanie Dorszaka. — Przygotowania do obrony. Podarunek Miecznikowej. — Tajemniczy stuk. — Głos z głębi. — Widmo z pod ziemi. — Uwolniona.

Na górnym zamku jak w ulu szumiało. Wszyscy byli na nogach około rannych. Miecznikowa zaledwie przysiadłszy, wstawała, rozporządzając, co czynić należało. Jadzia ani pomyślała o spoczynku.

Nie było naówczas zwyczajniejszej rzeczy nad rany; w powszedniem życiu niemal codziennie rąbali się przyjaciele i wrogi, strzelali przy lada waśni. Nie było też domu rycerskiego, gdzieby kobiety około ran chodzić nie umiały, a i mężczyźni bez plastra, bez kawałka płótna nie ruszali się o krok z domu.

Janasza więc opatrzono natychmiat. Miał ran wiele od strzał tatarskich; trzy tylko głębsze i niebezpieczniejsze. Nie zdawało się jednak, by strzały być mogły jadem jakim zaprawne. Krwi utracił dużo, gorączka się już objawiała, więcej może ze wzruszenia niż od postrzałów.

Dulęba z księdzem Żudrą poszli, rozpatrzywszy się, posilić, i siedli w izbie księdza na gawędkę. Znalazła się flaszeczka wina, chleb i wędlina.

Wiedzieli już, że Dorszak uciekł od Tatarów i był na zamku.

— Ciekawym go też widzieć — rzekł Dulęba — posłaćby po tego patra, a zajrzeć mu w oczy.

Wyprawił ksiądz zaraz, lecz sługa obieżał zamek dolny, izby mieszkalne, szopy, hukał, pytał, i nigdzie ani śladu nie znalazł. Dorszak już się był cichaczem wyprowadził. Gdy dano znać, że go nie mogą dopytać, Dulęba się roześmiał.

— Byłem tego pewien — rzekł — drapnął, nie czekając reszty porachunków. Albo to lepiej, albo gorzej — dodał. — To pewna, że jeśli uszedł Dorszak, o czem się przekonać łatwo, spokoju mieć nie będziemy. Napaść mogą Tatarzy na zamek, jak nic.

— Ale gdzież zaś?

— Kobiet straszyć nie trzeba, ale to tak pewna, jak dwa a dwa cztery.

Ksiądz załamał ręce i głowę spuścił.

— Wielu macie ludzi — zapytał pułkownik.

— Jest nas z rannymi, około dwudziestu.

— A broni?

— Dosyć na dwudziestu.

— Amunicyi?

— No, nie wiem dokładnie — zawołał ksiądz Żudra. — Gdyby Janaszek pozdrowiał nieco, wiedzielibyśmy najlepiej i co robić i co jest.

— On rychło odejdzie, zdrowa krew — wtrącił pocieszając, Dulęba. — Tatarskie strzały, jeśli nie zabiją, to po nich rany tyle tylko, że nudne. Dorszak ani dziś, ani jutro, nie może ich tu sprowadzić.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia ksiądz, nie wiedząc co począć, wylękły dzisiejszymi wypadkami, pomyślał, że w niedostatku Janasza, który majaczył trochę pod noc i z którym naradzić się nie było sposobu, należało choć Nikitę sprowadzić do rady. Po Korczaku był to najzdolniejszy z ludzi, a choć ranny, nie stękał na kalectwo, i krzątał się jak zdrowi.

Wybiegł więc sam wołać Nikity. Dworak stanął natychmiast. Miał, prawda, obandażowaną rękę, na jednę nogę trochę kulał, bo mu ją konie ścisnęły aż zsiniała, ale na twarzy śmiało mu się zwycięztwo i przygoda, której teraz, gdy się skończyła szczęśliwie, był rad. Napił się już parę razy wódki, zjadł chleba ze słoniną i uczuł się pokrzepionym.

— Nikita — zawołał ksiądz, widząc go ukazującego się w progu — na tobie teraz wszystko! — Dorszak zdrajca umknął z zamku. Pułkownik ręczy, że sprowadzi na zamek Tatarów ćmę.

— A pewnie — zawołał Nikita.

— Nie wiemy ani dnia, ani godziny, trzeba się sposobić do obrony.

— Ja jutro co świt do moich pojadę — wtrącił Dulęba — i przyślę wam na załogę z dziesięciu.

— No, to i dobrze — zaśmiał się Nikita — obronimy się tej szarańczy, choćby ich było i...

— Ano, powoli!... oto — rzekł, podnosząc się Dulęba — powoli, a nie tak butno. Dorszak lepiej od was zna wszystkie dziury tego sowiego gniazda. Jak on ich na dolny zamek przyprowadzi, toście zginęli, a dolnego zamku bronić ani myśleć.

— Ta — syknął Nikita, namyślając się — albo, albo... My sobie, chodząc po zamkach pozawczoraj z panem Janaszem, baraszkowali i żartowali, jakby tu przyszło bronić się od nieprzyjaciela. Nasz Janaszek to głowa jeneralska, on na hetmana stworzony, dodał Nikita; a wiecie, co mówił?

— Tom ciekawy — uśmiechnął się Dulęba — cóż ta jeneralska głowa tak mądrego znalazła?

— Bardzo prosta rzecz, panie pułkowniku. Spalimy most... na dolny zamek nie dostaną się.

Pułkownik stał zdziwiony.

— A! jak mi Bóg miły, rozumnie. Tylko wprzódy mnie dajcie się stąd wydobyć. Dziś na noc posłać dwóch ludzi, niech pale u dołu poobwiązują słomą i dziegciem osmarują, w godzinę mostu nie będzie.

— My tu z głodu poginiemy! — zawołał ksiądz.

— Trzeba z miasteczka nocą ściągnąć, nie prosząc, co się znajdzie — dodał Dulęba. — Na to, mości Nikita masz całą noc i kawał dnia jutrzejszego. Ja pod wieczór przyślę wam załogę, więc z paleniem mostu się nie spieszcie, ale tak, aby nikt nie wiedział, przygotować wszystko. Na górny zamek nie dobiorą się, chybaby tajemnemi lochami, któremiby Dorszak mógł ich wprowadzić.

— Ale czy to, proszę pułkownika — ozwał się Nikita po chwili — czy to istotnie może być, żeby ten łotr?...

— To nietylko może być, ale niezawodnie będzie — począł Dulęba. — Trzeba znać Dorszaka i Tatarów.

— A nie lepiej byłoby, zabrawszy się, uchodzić? — spytał Nikita.

— Z chorymi? w dziesięciu, czy piętnastu zdrowych, żeby was na drodze napadli? — mówił pułkownik. — Myślicie, że on tu, na zamku i w miasteczku szpiegów nie ma? że mu nie doniosą? Na dziś pilniejsza rzecz żywność na zamek sprowadzić i most przygotować.

Dulęba kończył, gdy miecznikowa weszła powolnym krokiem. Przed kilku chwilami już stała stała u progu, słuchając rozmowy. Na twarzy jej nie widać było wcale obawy, ale smutek i powagę wielką.

— Wszystkom słyszała — odezwała się, wchodząc. — Mój Nikito, póki Janaszek nie wyzdrowieje, ty nas broń.

— Niech jasna pani będzie spokojna. Bóg łaskaw — rzekł głosem wzruszonym. — Kiedy on nas dziś wyrwał z takiego niebezpieczeństwa, nie da nam zginąć marnie.

— Ja spać nie myślę się kłaść — odezwał się Dulęba — bywaj z raportem, będziemy radzili.

— Bóg cię nam zesłał, pułkowniku! — rzekła miecznikowa.

— Niech pani spocznie spokojna, proszę bardzo, trzeba sił i na jutro — mówił Dulęba. — Ee! jakoś to będzie!...

Zbliżył się, aby miecznikową w rękę pocałować.

— Mój pułkowniku — odezwała się nieśmiało miecznikowa — nie gniewajcie się na mnie.

— Ale za co?

— Coś pragnę uczynić, coście powinni dobrem sercem przyjąć. Winnam wam życie moje i córki jedynaczki i moich wszystkich. My o was, pókiśmy żywe, nie zapomnimy, ale — dodała prędko — chcę wam ofiarować pamiątkę.

— Mościa dobrodziejko — wyjąknął Dulęba — ja zasuszony żołnierz stary... ja... tego... żadnych pamiątek nie potrzebuję. Ale pfe! ale pfe! — rękami obiema, jakby odpędzał coś natrętnego, machając, rzekł Dulęba.

Miecznikowa stała i z pod chustki drżącą ręką dobywała karabelę.*) Oczy pułkownika padły na nią i przestał się opędzać. Karabela była stara; z pozoru można się było domyślać, że miała klingę turecką. Oprawa była złocista czy złota, ale prosta i niewytworna.

— Jak mi Bóg miły! karabela! ale skądże?

— Umyślnie dla was się tu znalazła.

— Ale nie, nie przyjmę, nie... — począł oczyma ją ścigać Dulęba — tylko proszę pokazać.

Była to stara szabla, znaleziona w skrzyni na zamku. Ten, co ją składał tam, dobrze wymaścił ją oliwą, tak że nie zardzewiała, a odczyszczona świeciła jak srebrna. Dobytą klingę oparł Dulęba o podłogę, zgięła się w kabłąk i wyprostowała drżąc; świeciły mu oczy do niej.

— Musisz ją wziąć pułkowniku! — nalegała gospodyni.

Dulęba w milczeniu schował do pochwy i westchnął.

— Nie mogę. Przesądny jestem; żelazo przyjaźń rozcina. Karabela doskonała, apetyt do niej nie mniejszy, ale nie mogę.

— Daj mi pół grosza za nią! — roześmiała się miecznikowa.

— A no, zgoda — rumieniąc się, rzekł Dulęba i zrobił ruch, jakby sakwy szukał, chociaż wiedział dobrze, że próżną znajdzie. Wstyd mu było. Wymówił się, że kiesę snać zgubił po drodze.

— Dam na kredyt — śmiejąc się, prędko dorzuciła miecznikowa.

Pocałował znów piękną rączkę Dulęba i poszedł po zamku szukać Nikity. Chcąc nazajutrz rano odjechać, aby ludzi przysłać na posiłek, musiał korzystać z nocy.

Pomimo znużenia nikt na dole nie spał. Część czeladzi gwarzyła o wypadkach dnia dzisiejszego w sklepionej izbie u wnijścia, reszta uwijała się popod murami, koło koni, opatrując otwory, obwarowując bramę. Nikita był w podwórzu. Dulęba znalazł go w rogu, nastawiającego ucha.

— Co to jest? — zapytał.

— Kto jego wie! cicho — rzekł Nikita — albo tu dusza pokutuje, albo ja już nie rozumiem nic.

— Gdzie?

— Tu, aby stąpić, słychać jęczenie i stuk.

Pułkownik nie był zbyt łatwowiernym, wierzył w duchy, ale gorzej się obawiał zdrady Dorszaka. Stanęli słuchać. Jęk się z pod ziemi dobywał głuchy. Dulęba położył się na kamieniach i ucho przycisnął do nich. Wstał po chwili i rzekł:

— Coś siedzi. Musi to być loch, a w lochu bodaj, czy kto nie zamknięty.

*) Szabla tureckim kształtem wygięta.

Gdy tak gwarzą pomieszani, spojrzeli, a pod murem, gryząc fartuszek w zębach, stała mała Horpynka. Dziewczę miało twarz przestraszoną jakąś, i całe było drżące.

Na pułkownika rzucało przestraszony wzrok, to znowu na Nikitę. Dopatrzywszy chwili, gdy na nią Dulęba nie spoglądał, Horpynka skinęła na Nikitę. Ten się zbliżył. Musiał się aż pochylić do jej ust, bo chłop był jak dąb, a dziewczę małe i drobne.

— To ona tam jęczy! to ona. Jak Bóg miły! Wy ją powinni uwolnić!

— Ale kogo?

— Panią! panią wrzucili do lochu! Tatiana! On kazał! Tatiana! Tatiana! — powtórzyła kilka razy, zakryła sobie oczy i chyłkiem popod murem, jakby się zlękła tego, co powiedziała, biedz poczęła ku bramie, przychyliła się, podpełzła pod nią jak kot i znikła.

— Dziewczyna powiada — odezwał się Nikita do pułkownika — że Dorszak tam żonę trzyma zamkniętą.

Dulęba zaledwie to usłyszawszy, za rękę go konwulsyjnie pochwycił.

— Gdzie? jak? człowiecze! Gdybym miał kark nadkręcić, ja ją uwolnić muszę! Prowadź! którędy?

Nikita, nic już nie mówiąc, rzucił się do bramy. Pułkownik za nim. Trząsł się cały.

Rozbójnik! łotr! — powtarzał. — Dajcie mi go w ręce, na moją odpowiedzialność, na gałęź!

Obiegłszy dom za bramą dokoła, bo Dulęba nie szedł, ale leciał gniewny, wpadli na ganek i po schodach na górę. Drzwi były ze środka zamknięte. Poczęli stukać i dobijać się mocno. Zrazu grobowa cisza im odpowiadała; dopiero gdy we dwóch zaczęli drzwi wysadzać, dały się słyszeć kroki.

— Kto tam?

— Otwierać! — krzyknął Dulęba.

W zamku odezwał się klucz i na progu pokazała się tłusta owa Tatiana z ogarkiem w ręku. Dzikiem wejrzeniem zmierzyła wchodzących. Twarz jej zwierzęco obojętna, a razem chytra, oświetlona blaskiem światła, które ręką zasłaniała, pełna była gniewu hamowanego i trwogi.

— Gdzie twoja pani? — krzyknął Dulęba, przystępując.

— Albo ja wiem? Pojechała. — Z pozorną obojętnością poczęła kobieta. — Co ja mogę wiedzieć?

— Kłamiesz! — wtrącił Nikita.

Kobieta zbladła i chciała odchodzić. Dulęba żelazną dłoń położył jej na ramieniu.

— Mów! — zawołał — lub z życiem nie wyjdziesz. Bierz klucze i prowadź.

— Zamknęłaś ją do lochu z rozkazu pana — rzekł Nikita.

Tatiana chciała się im wyrwać z rąk, ale z drugiej strony schwycił ją Nikita i wyrywała się napróżno. Ogarek potoczył się na ziemię, ale nie zgasł szczęściem, i Dulęba go jedną ręką podjął zręcznie. Obłąkanemi oczyma rzucając napróżno dokoła, jakby ratunku szukała, Tatiana płakać zaczęła ze złości.

Nie puszczając jej z rąk, szli niemi przez izbę naprzód schodami w dół, do zamkniętego lochu. Środek zajmował kamień z uchem żelaznem, Tatiana wskazała go nogą.

Wieko podniosło się lekko, małe schodki w dół się kręciły.

— Krzyknij, wołaj! — odezwał się Dulęba.

Nikita pochylił się nad czarnym otworem i począł hukać jak w lesie. Chwila upłynęła w milczeniu. Zdawało im się, że posłyszeli szelest. Tatiana drżała cała. Głos bolesny odezwał się z głębi. Czekali. Blada, wynędzniała, zmieniona twarz, z obłąka-

nemi oczyma pokazała się nad otworem; włosy poplątane spadały jej na ramiona, okryte chustką zbrukaną. Na widok tego widma Dulęba krzyknął, Tatiana zakryła sobie oczy, jakby się skryć chciała.

Nikita rękę podawał.

— Niech pani wychodzi — rzekł — i nie boi się. Dorszaka niema, uciekł.

Jakby nie rozumiejąc jeszcze i nie poznając nikogo, wodziła ciągle oczyma po nich kobieta, podniosła wychudłą rękę, przetarła powieki. Stała, nie śmiała iść dalej. Czy sił jej brakło?.. Nikita, niemal gwałtem chwyciwszy ją za ręce, wyciągnął milczącą, osłupiałą, do górnego lochu. Stanęła tu, wpatrując się w Dulębę, jakby go rozpoznać chciała a nie mogła. Dostrzegła Tatianę i cofnęła się z trwogą.

— To ona! to mój kat! — zawołała.

— Ja niewinna — jęczała Tatiana — ja sługa.

Milcząc, wydobyli się z lochu na schody. Baba próbowała kilka razy wyrwać się pułkownikowi, napróżno. Dopiero, gdy stanęli w izbach mieszkalnych, a Dorszakowa padła na poduszki, Dulęba zapomniał o Tatianie i puścił ją. Nim się spostrzegli, rzuciła się ku drzwiom i znikła.

Uspokojono Dorszakową naprzód, że męża się nie ma co obawiać, a Tatiana, jego powiernica i prawa ręka, pewnie uciec musiała. Zaczęła płakać. Nikita zawołał tymczasem do posługi Horpynkę, która pani do nóg, płacząc, upadła, i zostawił ich, sam spiesząc do mostu i do miasta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W zadumie!

Już uchodzisz miły lecie,
Już uchodzisz w dal —
Ach i słonko hen na szczycie
Śle promienny żal!

Żal mi bardzo tej zieleni,
Żal mi bardzo, hej!
Bo już w słonku się nie mieni
Kłos na roli tej!

Żal mi także tego śpiewu
Co rozbrzmiewał wszerz,
I tej wiosny żal powiewu
Tych skrzydlatych rzesz!

Żal mi także białej róży,
Co rozlewa woń
Ona listki swoje mruży,
Ja przykładam skroń.

Żal mi także tej jabłonki,
Co mi kwitła tuż —
Żal pól moich, gdzie skowronki
Śpiewały wśród zbóż.

Żal mi także srebrnej rosy,
Co się szkliła tam.
Jakże smutne są niebiosy!...
Ja ten smutek znam.

Powróć — powróć, lecie miły,
Nie uciekaj precz!
Usta moje rosę piły,
Więc się cofnij wstecz!

Bo mi bardzo żal za tobą,
Gdy hen pójdziesz w dal;
Serce skryje się żałobą,
Mnie ogarnie żal.

Henryka Zwilling.



Zjawisko w Krzątce.

W Galicyi, w powiecie kolbuszowskim, w parafii majdańskiej, leży wieś Krzątka. W tej to miejscowości już od połowy lipca objawia się, jak ludzie mówią, w studzience jakiś cudowny obraz M. B., prawdopodobnie Częstochowskiej.

W piękny, pogodny, dzień wyszły trzy dziewczynki na jagody do pobliskiego lasu. Jedna z nich udała się do studzienki, ażeby dzbankiem zaczerpnąć wody. Tam zobaczyła najpierw gołąbka, potem figurkę M. B. (tak mówią ludzie) a później dopiero obraz Matki Boskiej. Pobiegła więc zaraz do domu i opowiedziała o tem matce, lecz matka jej nie uwierzyła, a nawet ją podobno obiła. Dopiero po długich naleganiach poszła i matka, lecz nic nie widziała.

Natomiast dziewczynka owa, kiedy tylko poszła do owej studzienki, zawsze widziała cudowny obraz Matki Boskiej. Opowiadała więc o tem ludziom z własnej wsi i okolicy, a ludzie, zwłaszcza kobiety, dla ciekawości zaczęli odwiedzać ową studzienkę.

Tak trwało do 6 sierpnia. Od tego czasu, kiedy wieść szerzej się rozniosła, lud prosty (inteligencyi mało), coraz więcej gromadził się dniem i nocą i śpiewał pieśni na cześć N. M. P.

W dniach 12 i 13 sierpnia przyszedł tam pewien starszy chłopiec, małego wzrostu, od dawna kaleka na nogi, bogobojny, imieniem Jędrzej. Otóż ten chłopiec, nietylko widział cudowny obraz Matki Boskiej, (jak sam mówi), Częstochowskiej, lecz opowiada dużo więcej. Pierwszy raz rozmawiał on, jak zapewnia, z M. B. dnia 13, potem 14 sierpnia. Dnia zaś 15, jako w uroczystość Wniebowzięcia N. M. P., miała być uroczysta Msza św., podczas której Matka Boska miała się unieść ponad ziemię i objawić się wszystkim. Lecz Mszy św. nie było, ponieważ ksiądz proboszcz nie ma do tego władzy i dotąd jej od biskupa nie otrzymał.

Ja sam, który to piszę, byłem tam także w ten dzień, lecz nie mogłem się dostać do studzienki, bo natłok był bardzo wielki. Było może około 20.000 ludzi. Widziałem jak ów chłopiec rozmawiał, z kim nie pamiętam, a słowa jego równocześnie spisywano. Tematem rozmowy było zbudowanie kaplicy a później klasztoru i wiele innych rzeczy.

Niektórzy widzą nawet Matkę Boską żywą. — Mówią, że pewien chłop z Komorowa, pobliskiej wsi, pijak z gruntu, zobaczywszy Ją żywą, do samego domu własnego biegł z płaczem, bez kapelusza. Dnia 18 sierpnia przyjechał także jakiś pan z Niska, który się ludziom opowiedział, że idzie zbadać, co to jest. Wynikiem jego badania było to, że niczego nie widział, ani niczego nie znalazł a (mówił), blask to się od czegoś tylko odbija! Później, kiedy przyprowadzono owego chłopca do rozmowy z M. B., patrzył się także ów pan z Niska i wtenczas dopiero widział Matkę Boską i z radości, mówią, że tego chłopca w głowę pocałował. Chłopiec ten mówił, że jeżeli się nachyli nad studzienką a M. Boska ma coś do powiedzenia, to wtedy obraz jakoby się otwierał a M. B. z niego wychodziła i na pytania odpowiadała, lecz słów Jej nikt nie słyszy (z wyjątkiem chłopca).

Lud mówi, że cudowny obraz M. B. w Częstochowie zniknął.

Dnia 21 sierpnia zjechała komisya duchowna, lecz jaki jest wynik badania, tego nie wiadomo, gdyż go nie ogłoszono.

Cmolas 21 sierpnia 1911.

Andrzej Czachor.

PRZY POKOSACH SIANA.

Skoro tylko błysło rano, wzięła grabki grabić siano; tam, gdzie trawa świeżo ścięta, wyszła Jaguś uśmiechnięta.

Wśród kryształów rannej rosy rozłożyły się pokosy, ni to wały, ni zagony, ni huzarskie to szwadrony.

Coś tam w sercu zaszemrało... W bok podparła rączkę białą, koniec grabek w ziemię wbiła i myśl w serce zapuściła:

— Och mójże Ty, mocny Boże!... Jak ta trawka na ugorze, jak to biedne polne kwiecie, tak jam sama na tym świecie. Choć się w piersi serce targa, z ust nie spływa nigdy skarga, tylko czasem łzy pocieką, bo mój miły tak daleko... Bo mój miły tak daleko!... Nie za siódmą wprawdzie rzeką. Nie za wyspą gdzieś z korali, ale jeszcze dalej... dalej... Znacież taką dal tajemną?... W jednej wiosce on jest ze mną, nie wyjechał w obce strony, lecz jest... sercem oddalony... A ta męka już od roku...

Łza zabłysła w Jadzi oku, pierś wybuchła głośnem łkaniem za jedynym, za kochaniem.

— Gdy go widzę z inną, Boże! serce wtedy pęknąć może, myśl się targa, serce łamie, takie we mnie jest kochanie!... On mą miłość ma za fraszkę, za zabawkę, za igraszkę a ja zaś nią cała płonę i nią żyję i w niej tonę...

I tak Jaguś biedna marzy, a łza spływa jej po twarzy, jak ta rosa na pokosach i po bujnych zboża kłosach.

A gdy słońce wyszło w górę, skrzyczał ojciec swoją córę, że przy pracy jest leniwa...

Ja zaś mówię: — Nieszczęśliwa.

Antoni St. Bassara.



Dzień śląski w Trzcianie.

Podniesiona przed trzema tygodniami w gazetach wiadomość, swierdzająca groźny stan Macierzy Szkolnej w Cieszynie, a tem samem niebezpieczeństwo dla naszego narodu na Sląsku, znalazła odgłos i poza granicami nieszczęśliwego kraju. Ruszyły się w Galicyi miejscowości: Rabka i Zakopane, a także i wioska Trzciana koło Rzeszowa.

Tutejsza młodzież kształcąca się, pragnąc dać inicyatywę mieszkańcom do spieszenia z pomocą zagrożonym kresom zachodnim, zawiązała się w komitet. Rozporządzając stosunkowo skromnemi siłami i chcąc działalności swej nadać poważniejszy charakter, młodzież odniosła się do przedstawicieli wszystkich towarzystw, jakie tutaj istnieją. Wynikiem tego było wspólne zebranie dnia 6 sierpnia b. r., na którem podjęto myśl zbierania składek groszowych do puszek i na listy składkowe, urządzenia loteryi fantowej, sprowadzenia losów jubileuszowych »Macierzy« do rozsprzedania i zwołania wiecu oświatowego na dzień 15 sierpnia b. r. — Wykonaniem uchwał zajął się niezwłocznie komitet młodzieży, przyczem energią i wytrwałością przodowały mu panie, które z nadzwyczajną gorliwością zajęły się urządzeniem loteryi fantowej.

Korzystając z licznego napływu ludności z okolicznych wsi na odpust do Trzciany w niedzielę dnia 13 sierpnia, zajął się komitet urządzeniem w tym dniu loteryi fantowej i zbieraniam składek do puszek. Dzięki chętnej pomocy Tow. »Sokół«, Ochotniczej Straży pożarnej i niektórych dziewcząt wiejskich, zebrano liczne datki.

Na dziedzińcu p. Jana Stawarza, gospodarza miejscowego, zebrało się w dniu 15 sierpnia na wiec o godz. 4 popołudniu około 300 osób. Po zagajeniu wiecu przez przewodniczącego ks. kan. Józefa Juszczyka, wybrano, na wniosek p. Wojciecha Piątka,

jednogłośnie prof. Bieńkowskiego, delegata TSL. z Rzeszowa, przewodniczącym wiecu, p. Stanisława Pypcia, naczelnika gminy, zastępcą, a p. Stanisława Smagałę, maturzystę, sekretarzem.

Przewodniczący odczytał telegram z życzeniami pomyślnych uchwał od p. Lewickiego. — Nastąpiły trzy odczyty: p. Ignacy Sikora, słuchacz św. teologii, wykazał w przekonywujących słowach potrzebę oświaty wśród ludu, poczem p. Jan Smagała, słuchacz filozofi, przedstawił położenie Polaków pod trzema zaborami, a następnie p. Stanisław Piątek, słuchacz praw, objaśnił zgromadzonych o celach i zadaniu Towarzystwa »Macierzy szkolnej« cieszyńskiej, porównując jego działalność z działalnością T. S. L. i złożył publiczne, imienne podziękowanie ofiarodawcom.

Z licznych przemówień zasługuje na wyszczególnienie mowa Przewiel. ks. katechety Kazimierza Kostheima, który, jako prawdziwy kapłan-patryota, gorąco zachęcał ludność zebraną do poświęceń i ofiarności na cele narodowe, wyrażając życzenie, by zapoczątkowana w ten sposób, a tak zbożna praca znalazła jak najwięcej naśladownictw.

Zebranie trzykrotnym okrzykiem »Niech żyją!« na cześć duchowieństwa, reprezentacyi Towarzystw, przybyłych gości i zorganizowanej młodzieży, wyraziło swe podziękowanie i zadowolenie i uchwaliło jednomyślnie następującą rezolucyę:

»Zebrani w dniu 15 sierpnia b. r. na wiecu oświatowym w Trzcianie koło Rzeszowa, urządzonym w sprawie »Macierzy szkolnej« cieszyńskiej — włościanie

a) odczuwając trudne położenie, w jakiem się obecnie znajduje Towarzystwo, broniące polskości na kresach zachodnich, wyrażają Mu podziękowanie za dotychczasową skuteczną pracę;

b) rozumiejąc, że w obecnej chwili musi Towarzystwo wytężyć wszystkie siły, by pomyślnie wybrnąć z przesilenia, przesyłają Zarządowi »Macierzy« szczere życzenia zwycięztwa;

c) wzywają przedewszystkiem wsie polskie, a następnie całe społeczeństwo do niesienia natychmiastowej pomocy prastarej polskiej dzielnicy;

d) odwołują się do Koła polskiego w Wiedniu z żądaniem, by zwróciło baczniejszą uwagę na Śląsk cieszyński i aby wszelkimi siłami starało się o upaństwowienie tamtejszych szkół, utrzymywanych dotychczas przez »Macierz«;

e) szlą Rodakom na Śląsku braterskie pozdrowienie i słowa zachęty do wytrwania na zagrożonej, a tak ważnej placówce«.

O godzinie 8 wieczorem przewodniczący podziękował zebranym za liczny udział i wiec rozwiązał. Zebraną na razie kwotę 145 kor. 25 h. przesłano Zarządowi Towarzystwa »Macierzy Szkolnej« w Cieszynie.

Za Gminę: *Stanisław Pypeć:* — Za Obszar dworski: *Adolf Bommer.* — Za Zarząd szkoły: *Edmund Banicki.* — Za Kasę Raiffeisena: *M. Kawalec*, *Józef Draus.* — Za Och. Straż pożarną: *Jan Cioch.* — Za Urząd parafialny: *ks. J. Juszczyk*, *ks. K. Kostheim.* Za związek chrześc.-społ.: *Jan Draus.* — Za Urząd stacyi kol.: *Mieczysław Doening.* — Za Kółko roln.: *Antoni Smagała.* — Za Tow. »Sokół«: *Stanisł. Dziedzic.* — Za Czytelnię TSL.: *Wojciech Piątek.*

Komitet organizacyjny młodzieży kształcącej się: *Jadwiga Dziedzicówna*, *Marya Jędrychówna*, *Stanisław Piątek*, *Ignacy Sikora*, *Jadwiga Smagałówna*, *Jan Smagała*, *Stanisław Smagała*, *Józef Urban.*

Zjazd Kółek rolniczych.

Dnia 22 i 23 sierpnia obradowała w Przemyślu trzynasta z rzędu ogólna Rada Towarzystwa Kółek rolniczych. Zjazd był bardzo liczny; przybyli bardzo licznie włościanie, wielu nauczycieli i księży. Po nabożeństwie, odprawionem w kościele katedralnym przez ks. kanonika Sarnę, zebrali się delegaci w liczbie kilkuset i dostojnicy w sali Sokoła. Na estradzie obok prezesa Cieleckiego zasiedli: marszałek krajowy hr. Badeni, ks. biskup Pelczar, reprezentant namiestnictwa radca dworu Szeligowski, protektor Towarzystwa Brykczyński. Oprócz tego przybyło wielu przedstawicieli różnych instytucyi, wiceprezes Rady szkolnej krajowej Dembowski, inspektor Zaleski, oraz dwudziestu kilku posłów parlamentarnych i sejmowych.

Na wstępie prezes Towarzystwa Cielecki stwierdził, że ubiegły rok był jednym z najpomyślniejszych w rozwoju Towarzystwa. Wspomniał dalej o stosunkach do bratnich Towarzystw, jak Związek Straży pożarnych, Towarzystwo Szkoły Ludowej, z któremi stosunki są jak najlepsze. Dalej wspomniał o Towarzystwie rolniczem i Towarzystwie gospodarskiem, które stykają się z Kółkami na jednem polu pracy, przyczem zaznaczył, że zwłaszcza w zachodniej części kraju daje się zauważyć, jakoby organizacya handlowa chciała wessać w siebie Kółka rolnicze. Jeżeli się mówi o zlaniu się tych trzech rolniczych instytucyi, to możnaby się na to zgodzić tylko pod warunkiem, że podstawową organizacyą byłyby Kółka rolnicze. Największą przeszkodą w rozwoju Towarzystwa jest nadmierne rozpolitykowanie w całym kraju; należy więc starać się, aby Towarzystwo utrzymać w niezależności od jakiegokolwiek politycznego stronnictwa. Mowca zakończył okrzykiem na cześć cesarza.

Ks. biskup Pelczar podnosił potrzebę dalszej działalności Kółek w duchu religijnym i w zgodzie z duchowieństwem, zapewniając o swoj życzliwości i duchowieństwa. Mowca wskazał na potrzebę rozwoju także innych gałęzi gospodarstwa n. p. sadownictwa i zakończył udzieleniem błogosławieństwa arcypasterskiego.

W dalszych obradach okazało się, że pewna część uczestników przybyła głównie dla »polityki«; już przy wyborze komisyi-matki powstało burzliwe zajście, a następnie, gdy taż komisya przedłożyła spis kandydatów na 24 członków zarządu. Ostatecznie po tej przemijającej, lubo groźnej na pozór chmurze, grożącej wielką burzą, zwyciężyła myśl poważna, obywatelska, unikania walk politycznych w Kółkach i wniosek wyboru 24 członków zarządu, przedłożony przez komisyę-matkę, uchwalono.

O sporach i zajściach w pierwszym dniu obrad Kółek pisać nie będziemy. Uważamy w sprawach gospodarczych politykę za ogromnie szkodliwą, to też wyrazić możemy tylko uznanie uczestnikom zjazdu Kółek, nie wchodząc w to, czy zowią się ludowcy, czy narodowi demokraci, czy centrowcy, że burza »polityczna« rychło przeminęła, a drugi dzień przyniósł już obrady fachowe, odczyty poszczególnych mowców bardzo interesujące i pożyteczne, że rzucono niejednę myśl rozumną, która w przyszłości błogie wydać może owoce. Życzymy serdecznie Kółkom najpomyślniejszego rozwoju na drodze celowej, wytrwałej gospodarczej pracy, nie zamącanej waśniami stronniczemi.

WALKA BYKÓW W HISZPANII.



Odwieczny to i ulubiony, choć wielce barbarzyński zwyczaj w tym kraju. W ogromnych cyrkach, wobec tysięcy widzów, śledzących rozognionym wzrokiem przebieg walk, odbywa się popis zręczności ludzkiej i pogardy śmierci z jednej strony, z drugiej zaś roztacza się przed oczyma publiczności przykre widowisko padających pod uderzeniami rogów byka koni z rozdartymi brzuchami, a wreszcie ginący i broczący obficie krwią potężny byk ginie od zręcznego zatopienia szpady. Rozpoczyna się widowisko wpuszczeniem byka na okrągłe boisko cyrkowe, na którem stoją niezwykle zręczni młodzieńcy z czerwonemi chorągiewkami w rękach. Ci przebiegają z niemi przed oczyma byka, który rozdrażniony czerwonym kolorem rzuca się kolejno na każdego, lecz zazwyczaj żadnego rogiem nie dosięga, gdyż inny zabiega mu drogę i czerwoną chorągiewką i w inną zwraca go stronę. Nieraz jednak mniej zgrabni bywają rozszarpywani rogami rozjuszonego zwierza. Następnie jawią się ludzie na koniach z czerwonemi chustami i ostremi pikami. Za tymi byk, już rozwścieczony poprzednio, znowu się rzuca i często, gdy pika się skruszy i zawiedzie, przebija rogami brzuch niewinnego konia, z pod którego nie zawsze jeździec zdoła umknąć. Nakoniec ustępują »picadorowie« boisko się opróżnia, zostaje sam byk na pustem boisku. Skrwawiony od ukłóć pik, rozdrażniony do najwyższego stopnia, patrzy zakrwawionem okiem na bramę, w której ukazuje się bohater walki, tak zwany »espada«. Niesie on w ręce tylko szpadę, ostrą jak brzytwa. Zbliża się pewnym krokiem ku zdumionemu zwierzęciu. Tysiące widzów wstrzymuje oddech. Nakoniec byk pochyla łeb, rzuca się na »espadę«, ten w jednej sekundzie uskakuje w bok i błyskawicznie zatapia w nim od góry szpadę tak zręcznie, że jej koniec przebija mu serce. Byk wali się na piasek boiska, »espada« spoziera z tryumfem dokoła, cyrk szaleje z radości: tysiące dłoni klaszcze, tysiące kwiatów i podarunków pada u stóp zwycięzcy.

Z galicyjskiej przeszłości.

(Historya prawdziwa)

Wieś Wiśnia, znajdująca się niedaleko miasteczka Sądowa Wisznia, prowadziła z panem swoim, tj. dziedzicem, długie czasy spór o pastwisko gminne. Przychodziło o to często do zwad, a nawet do bójek, bo pan kazał zwykle ludziom swoim spędzać bydło chłopskie z pastwiska. Ci nie dawali się i stawali do bicia, tak że w rezultacie rozbijano sobie głowy i kaleczono się. Ostatecznie rada w radę postanowiła gmina wysłać deputacyę do starosty, żeby coś poradził. Wybrano trzech najwybitniejszych ze wsi i ci wybrali się do Przemyśla, gdzie znajdował się starosta, zwany wówczas kreishauptmanem.

Stanęli wreszcie przed obliczem starosty. Chłopi oczywiście umieli tylko po rusku, pan starosta zaś był zakutym Niemcem, nieumiejącym ani słowa po rusku, ni po polsku. Między przybyłymi a starostą zawiązała się następująca rozmowa:

— Was wünschen sie sich? — pytał starosta, co miało znaczyć: czego chcecie?

— Ta my z Wyszni — odrzekli chłopi — a rozhodyt sia nam o pasowysko, no i hmyna wybrała nas...

— Was, was? — pyta starosta.

— Ta nas, nas — mówią ucieszeni deputaci — szczobyśmy sia poradyły, szczo robyty...

— Aber ich bitte (ależ proszę) — woła zniecierpliwiony starosta.

— Byty? — pytają chłopi — każete byty, możemy byty, tolko koho?

Starosta, który nie rozumiał ich ani w ząb, chciał to chłopom jakoś wytłómaczyć, więc począł:

— Aber ich, ich...

— Ich? naj bude, koły tak — zgadzają się posłuszni wieśniacy.

Starosta, widząc, iż sobie nie da rady, woła więc

— Rufen sie mir den Sekretär Goworka (zawołajcie mi sekretarza Goworkę).

— Do worka? — chłopi na to — dobre, możemo i do worka...

Tymczasem przyszedł sekretarz Goworka, Czech, umiejący już nieco po polsku, i jemu każe starosta porozumieć się z deputacyą. Goworka pyta, o co chodzi, chłopi przedstawiają mu całą sprawę.

— My bułyśmy wże u pana starosty, a toj nam skazaw, szczoby byty i do worka!...

Przestraszony obrotem sprawy sekretarz, chce chłopom to wyperswadować i tłómaczy:

— Ale glupia klopa, możeby tak cali sprawa przydusit?

— Każete przydusyty? Szcze lipsze! Naj i tak bude. Daj Boh zdorowia! — rzekli chłopi i poszli.

Gdy deputacya wróciła do wsi, zaczęto ją oczywiście rozpytywać ze wszech stron, jak się im powiodło, co starosta im mówił itd. Delegaci więc opowiadają:

— Ono wsio było duże fajno. Zaraz, jak my ino pryjszły, tak starosta spiznaw zwitki my. »Z Wyszni wy«, każe. No my pytajemo sia, szczo robyty, a win ino »byty« każe »ich« i każe »do worka«. A potom szcze kazały i »przydusyty«.

Zadowoleni takim obrotem sprawy, wyszli gromadą na pastwisko, wziąwszy ze sobą koły, cepy i co się dało. Pan, widząc najazd, zwołał swoich ludzi, ale chłopi nie bali się pana, lecz ściągnęli go z wozu, wepchali do worka i przydusili tak dokładnie, że już żywy nie wyszedł. Gdy się dowiedziano o zbrodni, aresztowano ich, i choć się tłómaczyli, że sam starosta kazał »byty« i »do worka« i »przydusyty«, nie pomogło im to jednak, ukarano ich surowo. A biedacy popełnili zbrodnię wskutek nieznajomości języka krajowego przez starostę.

Kazimierz Tokarski.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

IX.

Dwa następne tygodnie były najszczęśliwszą, najpiękniejszą chwilą mego życia. — Zapomniałem o wszystkiem: o sławie, o chwale wojennej, o szlifach jeneralskich, które dotąd były jedynem mojem marzeniem, o »Sułtańskiej komnacie« i rubinie w niej zamkniętym. A choć Hiszpan kilkakrotnie mi przypominał, że obiecałem mu pójść do tej tajemniczej komnaty, choć ciocia parę razy nalegała o to na mnie, nie chciałem i nie mogłem tego uczynić, gdyż jedyną moją myślą, jedynem marzeniem, były oczęta Julci...

Życie moje zresztą było jednostajne. Rano musztra na owej polanie leśnej, a później już cały dzień rozmowy, przechadzki i marzenia w towarzystwie dwóch panien. Czas nam upływał szybko, począłem rysować portret Julci... Jakże to wszystko prędko minęło i jaka straszna, głęboka, niczem nie oświecona noc potem zapanowała w mej duszy i sercu!

Opowiadałem pannom, że byłem dzieckiem ubogich rodziców, że mam tylko matkę wdowę, żyjącą z niewielkiego kapitaliku, że jestem jedyną podporą jej starości, jedyną jej myślą i dumą. Kiedym mówił o tej mojej dobrej, zacnej, świętej mateczce z uczuciem miłości i dumy synowskiej, kiedym opowiedział, jak przez długi czas od ust sobie odejmowała, by mi dać edukacyę, widziałem łzy w oczach Julci i serdeczne współczucie w poważnej twarzy Maryi.

W tych rozmowach, spowiedziach, przechadzkach, nikt nam nie przeszkadzał. Stary regimentarz, jak zwykle, wyjeżdżał o świcie, czasem towarzyszył mi na musztrę i nie wracał aż na obiad, a potem siedział nad miodem i szedł wcześnie spać. Zresztą bardzo niewiele go obchodziło, co kto robi w jego domu.

Ciocia zajęta psami, zawsze chora na nerwy i migrenę, przepędzała całe dnie w fotelu z romansem w ręku. Markiz przesiadywał przy cioci, czasem zachodził do nas niespodzianie, cichaczem, ale wreszcie zdawało mi się, że nie zwracał na nas żadnej uwagi.

Miłość we mnie ku Julci rosła, wzmagała się i opanowała mnie całkowicie. Stała się ona teraz jedynym celem mego życia i czułem, że gdy mi tę dziewczynę wydrą, wydrą mi życie...

Tylko nie byłem pewny, czy i Julcia mnie kocha, bo jak zwykle zakochani, byłem ślepy na to, co już inni widzieli. Wypadek odkrył mi i tę tajemnicę, by napełnić mi serce, na bardzo krótką niestety chwilę niewypowiedzianem szczęściem.

Jakoś przy końcu drugiego tygodnia mego pobytu w Grzymale, przypędzono popołudniu na dziedziniec zamku stadninę regimentarza, która była na drugim folwarku. Wszyscy wyszliśmy na ganek przypatrzeć się pysznym koniom krwi arabskiej, w których regimentarz się kochał. W istocie zwierzęta były piękne — ja zachwycałem się jednym ogierkiem...

— Tak, tak — mówł regimentarz — piękny on, nie ma co mówić, mociumdzieju, ale żebyś ty wiedział jego przymioty? he! he! co to za koń, a jak skacze, niczem najwyższa dla niego baryera, skacze, jako panienka.

— O! — rzekłem — to nic nadzwyczajnego, mój koń, choć nie arab, skacze tak doskonale, iż ręczę, że nie dałby się pokonać temu ogierowi.

— Gadasz, gadasz, mociumdzieju, ja przecie znam się na tem, bom połowę życia przepędził na koniu i przy koniu — i powiadam ci, jak mnie widzisz, że to być nie może, by twój koń tak skakał, jak ten oto.

Ubodło mię to trochę, odezwę się więc:

— Spróbujmy!

— A spróbujmy, kiedy chcesz.

Zawołano koniuszego, dwóch ludzi wzięło długi drąg i koniuszy, dosiadłszy araba, trzy razy przeskoczył z nim przez baryerę dość wysoko trzymaną. W istocie, arab skakał wybornie, lekko i pewno. Nie wątpiłem jednak, że i mój koń tego dokaże. Kazałem go więc przyprowadzić, osiodłałem sam, i choć panny i regimentarz wstrzymywali mnie, począłem skakać. Przeskoczyłem raz, drugi, ale za trzecim koń pad i ja z nim. Podniósł się tuman kurzu i usłyszałem nagle bolesny krzyk Julci. Kiedym się wydobył z pod konia, bez żadnej szkody, bo lekkie stłuczenie ręki i nogi nie miało żadnego znaczenia, pobiegłem ku gankowi i dostrzegłem, że Julcia zemdlała. Przyszła wkrótce do siebie i pierwsze jej spojrzenie padło na mnie, spojrzenie pełne miłości.

Jakaż to była radośna, jaka szczęśliwa dla mnie chwila! Odtąd byłem prawie pewny, że jestem kochany. Ale już tego samego dnia to szczęście miało się przemienić w najczarniejszy smutek.

Przy kolacyi, kiedyśmy wszyscy siedzieli razem, a na taras wyjść nie można było z powodu, że nad wieczorem zerwała się silna, ulewna burza, kiedy ja, rozpromieniony radością, patrzyłem na Julcię, która się rumieniła pod mojem spojrzeniem, panna Marya nagle rzekła:

— Proszę cioci, gdzie my pomieścimy pana Holma?

O tym panu Holmie słyszałem już kilka razy, ale nie wiedziałem kto on jest, zresztą mało mię to obchodziło. Podobnież i teraz niewiele mię obchodziło to pytanie, spostrzegłem tylko, że twarzyczka Julci nagle czegoś pobladła.

— Moja Maryniu — odrzekła na to poważnie ciocia — tyle razy cię przestrzegałam, żebyś nie mówiła pana Holm, tylko pana hrabiego Holm. Wiesz, że nosi ten tytuł, który mu się słusznie należy, bo jest bardzo pięknym i bardzo eleganckim mężczyzną, trzeba każdemu oddać co mu się należy, wszak prawda, markizie?

— Prawda, wielka, święta, zdumiewająca prawda, jak wszystko, co wychodzi z ust twoich, pani. Co się zaś tyczy pomieszczenia hrabiego Holm, jenerała od infanteryi cesarskiej armii austryackiej, mojego dobrego przyjaciela, a szczęśliwego narzeczonego panny Julii...

— Narzeczonego! — porwałem się na równe nogi, czując, że mi wszystka krew bije do twarzy i spojrzałem na Julcię.

Niestety! w jej smutnym wzroku dostrzegłem, że markiz prawdę powiedział.

— A tak, narzeczonego, panie poruczniku — odezwała się ciocia — cóż pan w tem dziwnego znajdujesz, że się aż zrywasz i narażasz moje nerwy na niebezpieczeństwo? Czyż Julcia nie może mieć naczonym hrabiego?

— Nie przeczę temu, pani... przepraszam... ale nie wiedziałem, że panna Julia jest narzeczoną...

Usiadłem, nie wiedząc sam, co robię i co mówię. W głowie mi się kołowało, pot oblał całego. Błędnym wzrokiem patrzyłem na Julcię, która mieniła się, raz różowa, to znów blada. Tymczasem panna Marya, która nie spuszczała ze mnie wzroku ani na chwilę, rzekła:

— Ja myślę, że najlepiej byłoby pomieścić pana Holm w pokojach na pierwszem piętrze od dziedzińca, wprost mieszkania pana Kosy.

— Jak chcesz, Maryniu — rzekła ciocia — zrób, jak chcesz, tylko mnie nie męcz — jak można mię trudzić takiemi rzeczami. Młodzież dzisiejsza zupełnie traci dawną delikatność względem płci nadobnej, drżę cała. .

Wstałem, bo zdawało mi się, że oszaleję. Poszedłem ku szklannym drzwiom, wychodzącym na taras, żeby się nieco ochłodzić. Deszcz lał jak z cebra i słychać było jego nieustanny plusk. Wicher wył jak stado psów spuszczone z łańcucha, miotał olbrzymiemi drzewami ogrodu, które chwiały się z szumem i trzaskiem. Z wielkich kamiennych wazonów, w których mieściły się egzotyczne kwiaty, woda spływała potokami, a wielkie liście kaktusów smętnie wisiały. Noc była straszna i smutna, jedna z najciemniejszych w mojem życiu.

Co mówiono i co robiono tego wieczora, nie pamiętam; w uszach mi brzmiało tylko: narzeczony hrabia Holm, jenerał armii austryackiej... Byłem jak ten, który nagle z wyżyn jakichś podniebnych, spadł w przepaść pełną ciemności.



...Wstałem, bo zdawało mi się, że oszaleje.

Wtem regimentarz, który siedział na uboczu przy swej lampce miodu, odezwał się do mnie:

— Hej, panie Kazimierzu, chodźno tu waszmość, napij się miodu. Czas taki paskudny, mociumdzieju, że psa żal na świat wygnać, a ja to wiem z praktyki, że w taki czas najlepiej napić się miodu.

Zbliżyłem się do starca i piłem, piłem jak nigdy w życiu. Odwieczny miód wsiąkał mi w krew, wrzał w niej jak szalony. W głowie mej szalała jakaś straszna burza, straszniejsza od tej, jaka w tej chwili szumiała na dworze, a ja wciąż piłem i regimentarz, dolewając mi ciągle, gadał tylko:

— Ano, to ty pijesz, jako się patrzy... nie wiedziałem, żeś i do kielicha dobry, mociumdzieju.... A i głupi byłem, żem nie wiedział, bo to przecie żołnierz, a osobliwie ułan, do wszystkiego jest, do różańca i do tańca, do korda i do spódniczki, do kielicha i do kapicy mniej jak potrzeba... ano, pijże pij, mociumdzieju, miód przedni, nie żałuj gęby.

Ja też piłem, wielem wypił nie wiem, ale kiedyśmy się rozchodzili, korzystając z zamieszania, zbliżyłem się do Julci i szepnąłam:

— Zaklinam panią, bądź jutro rano o ósmej w ogrodzie, w altanie chińskiej. Jeśli nie będziesz, to o dziewiątej w łeb sobie wypalę pod twem oknem. Zdradziłaś mię, trzeba żebyś się wytłómaczyła...

— Ja ciebie... pana... zdradziłam?... mój Boże! i spostrzegłem dwie wielkie łzy w jej oczach.

Ukłoniłem się jej, mówiąc dobranoc, podobnież Maryi, i ruszyłem do siebie. Na schodach spotyka mię markiz.

— Czekam na pana — rzekł — bo chcę ci coś powiedzieć.

— Słucham pana.

— Ach! przecie pan wiesz o co idzie, przyrzekłeś to uczynić, a słowo żołnierza świętem być powinno, powinno być pewnem i niewzruszonem, jak świat. Wszak nie byłeś dotąd w »Sułtańskiej komnacie«? Uważ, co ci powiem: pojutrze przyjeżdża Holm, hrabia świętego państwa rzymskiego, mój serdeczny przyjaciel, narzeczony tej boskiej, anielskiej Julii. Niecierpliwisz się? źle, źle młodzieńcze, kiedy się niecierpliwisz w chwili, gdy jest mowa o dziewicy... Otóż hrabiego Holma osadzają na pierwszem piętrze, wprost ciebie, prawie tuż przy tobie... jakże wówczas zdołasz dotrzymać twego słowa?... Czekaj, jeszcze słówko, jedno slówko... Czy słyszysz, jak wicher szumi, jaka ulewa, jaka burza, rzekłbyś tropikalna! Upusty niebieskie się rozwarły, jak mówi Pismo św. Idź, idź, nikt cię nie dostrzeże, nikt nie usłyszy, a ty posiędziesz tajemnicę rodzinną, która odda ci ją w ręce, która spełni najgorętsze twoje życzenia, pomimo wszystkich hrabiów Holmów i dotrzymasz słowa. Idź! idź!

I wyprostował się, nie spuszczając ze mnie ani na chwilę swych wielkich czarnych oczu, podniósł rękę, ukłonił mi się i, nim słowo wyrzekłem, zniknął.

Poszedłem do siebie i rzuciłem się na krzesło, pogrążając się w najsmutniejszych myślach. Kazałem Antkowi iść spać, nie chcąc żeby mi przeszkadzał w mej zadumie, żeby nie był świadkiem mej niemej, głuchej i strasznej rozpaczy.

Uspokoiwszy się nieco, począłem się głębiej nad tem wszystkiem zastanawiać. Jakim sposobem Julcia mogła zostać narzeczoną tego hrabiego Holm, jenerała austryackiego i to w czasie tak bliskim ostatniej krwawej wojny. Dlaczego ją wydają za Austryaka? Kto to jest ten hrabia Holm, przyjaciel serdeczny markiza? Czy ten ostatni ma jaki udział w tej sprawie? Jakie nakoniec jest stanowisko tego człowieka w tym domu, że się miesza do spraw rodzinnych? Dlaczego mi powiedział, że gdy zwiedzę »Sułtańską komnatę«, posiędę tajemnicę rodziny i będę mógł spełnić najgorętsze me życzenia? Czy markiz wie o mej miłości? a jeśli wie, to jakim sposobem? Dlaczego chce zdradzić Holma, swego, jak mówi, najlepszego przyjaciela i to na moją korzyść? Skądże taka przyjaźń dla mnie niespodziana? Nie, ten człowiek ma w tem wszystkiem jakąś myśl głębszą, ale jaką? Czy nakoniec pójdę tam do tej komnaty? Nie, tego zrobić nie mogę, nie powinienem. Honor mi nie pozwala na to, choćby szło nawet o szczęście całego mego życia. Skąd, kto mi dał prawo wdzierać się w tajemnice rodziny, której nie znam, nie jestem jej członkiem. Wreszcie skąd pewność, że ten Hiszpan nie zdradza mię, że mówi prawdę?

Od natłoku tych myśli czułem, że głowa mi goreje. Poszedłem do okna, przyłożyłem czoło do szyby, chcąc je ochłodzić. Wokół mnie leżała martwa cisza, słyszałem wyraźnie oddech Antka, śpiącego w przedpokoju i plusk deszczu i szum wichru. Noc była ciemna i burzliwa. Niekiedy wicher, wdarłszy się w komin i w korytarz piętra, piskiem i trzaskiem napełniał cały dom. Ze wsi, z dala, od czasu do czasu wiatr przynosił urywane szczekanie psów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Kongres Maryański w Przemyślu.

Uczucie szlachetnej dumy podnosi pierś każdego prawego Polaka katolika na wiadomość jak niezwykle poważne rozmiary przybrał drugi z rzędu trzechdniowy kongres Maryański w naszym kraju. Uczestniczyło w nim około trzech tysięcy osób — w tem ośmiu książąt Kościoła: ks. biskup przemyski Pelczar, jako gospodarz kongresu, ks. arcybiskup lwowski Bilczewski, księża biskupi: Czechowicz, Teodorowicz, Nowak, Wałęga, Bandurski i Fischer, wielu wysokich dostojników z marszałkiem kraju hr. Stanisławem Badenim na czele, setki duchowieństwa świeckiego i zakonnego, przedstawiciele stowarzyszeń katolickich warszawskich i poznańskich, wybitni kapłani z obu tych zaborów, Sodalicye Maryańskie, delegacye stowarzyszeń robotniczych z całej Polski, a nawet z Westfalii, panie należące do związków katolickich, goście z Galicyi, tłumy włościaństwa.

Kongres odbywał się w wielkiej sali »Sokoła« przemyskiego, pięknie przybranej. Stał tam oparty o ścianę, ołtarz, pod baldachimem z czerwonego aksamitu duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, u stóp którego popiersie Piusa X. Boki zdobiły flagi i herby Przemyśla, Krakowa i Lwowa.

Zagaił zgromadzenie ks. biskup Pelczar. W wymownych słowach stwierdził, że potrzeba nam na serc i ducha pokrzepienie takiego zjazdu koniecznie. Potrzeba dzisiaj pracować i walczyć, walczyć przedewszystkiem z prądami wolnomyślnymi, z masoneryą, podkopującą silną budowę Kościoła, z zakusami socyalistów, dążących do rozdziału Kościoła od państwa. Ale daremne sąich zabiegi. Kościół katolicki ma w sobie siłę i ona go obroni. Ale ataki wrogów ciągle się ponawiają. Wobec tego celem Kongresu jest dążyć do wciągnięcia do pracy około moralnego podniesienia społeczeństwa, szczególniej młodzieży — wszystkich stanów, wszystkich ludzi dobrej woli, którzy czczą Matkę Najświętszą, a pod jej sztandarem z pewnością odniesiemy zwycięstwo.

Prezesem honorowym wybrano hr. St. Tarnowskiego, prezesa Akademii Umiejętności z Krakowa, rzeczywistym prezesem ks. Sapiehę. Marszałek hr. Badeni podniósł, że kongresy i zjazdy Maryańskie są świetną oznaką łączności i solidarności w naszym narodzie, dodają otuchy i siły do dalszej pracy. Przemawiali jeszcze burmistrz Przemyśla Dr Doliński, prof. uniwersytetu Czerkawski z Krakowa, ks. Godlewski, jako przedstawiciel Warszawy, jeden z Wielkopolan, przedstawicl Kółek rolniczych hr. St. Henryk Badeni, ks. prałat Skarżyński z Warszawy.

W drugim dniu Kongresu w niedzielę d. 27 sierpnia rano w kościele katedralnym o godz. 7 odprawił ks. biskup Nowak mszę św., podczas której przystąpili wszyscy uczestnicy do Stołu Pańskiego. Mszę św. pontyfikalną o g. 9$^1/_2$ celebrował X. Wałęga, biskup tarnowski, kazanie wypowiedział ks. arcybiskup Teodorowicz. Po godz. 11 wyruszyła olbrzymia procesya z katedry przez ulicę Katedralną do kościoła Serca Jezusowego, gdzie wypowiedział porywające kazanie ks. Bandurski, biskup-sufragan lwowski. Błogosławieństwem Najśw. Sakramentu zakończyła się uroczystość w kościele, poczem procesya wróciła do katedry. Popołudniu o godz. 3 rozpoczęło się posiedzenie kongresu. Wygłoszono wiele rozumnych przemówień nawołujących do organizowania się, uchwalono szereg rezolucyj tak w niedzielę jak w poniedziałek. Wykonaniem rezolucyj, z pewnością zajmą się gorliwie stowarzyszenia katolickie w całym kraju. Niejedno słowo zamienione w czyn niewątpliwie przyniesie błogie owoce ku podniesieniu życia katolickiego, czci Boga i Najśw. Panny.



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają ludzie, ze ja jestem okrutecnie mądry, ale mi się w to ani rus nie chce wierzyć, a to la tego, ze nijak ni mogę wyrozumieć, cemu świabiska koniecnie się uwzięły i chcą nas piękny język skasować a wepchać nam swój śwabski, którego zaden porzondny człowiek nie rozumie.

Dajmy na to, zeby u mnie tak mój polski język skasowali a naucyli mnie śwabskiego! Ciekawym, coby na to pedziała Kaśka, jakbym tak do ni po miemiecku śwar... śwar... śwar... Pewnikiem wzięłaby zarnówicę i wyśwarcałaby mnie po grzbiecie jaz hej!

Abo gospodyni? Z gospodynią byłoby jesce gorzy. Teraz człek po katolicku jedzenia się dowołać nie moze a po miemiecku jakby zacął wołać, toby ani za rok porządny ciarapki i zimiaków nie dostał.

A juz najgorzy toby było na tamtym świecie, gdy człek gicale wyciągnie. Jak padają, przy niebieski bramie będzie stał święty Pieter i będzie ludzi do nieba felezował. I jakby ja się tam dostał, jakbym polski mowy nie rozumiał ino śwabską? Jakby święty Pieter wołał:

— Maciek Bzdura a jesteś ta kaj? — to jabym stał, by kołek w płocie i nie wiedziałbym cego on chce. Inse ludzieby posły do nieba, a jabym został sam za drzwiami, a ino bez to, zem polskiego, katolickiego języka nie umiał.

Padacie, ze jakbym potem świętego Pietra zacął prosić, toby mnie puścił do nieba? Aha, juści! Co prawda, to tam święty Pieter okrutecnie dobry starusek, ale choćby on był i najlepsy, to coby to wszystko pomogło, jakby nie wiedział, cego ja chcę.

Mnie się widzi, ze te Śwabiska nie la cego insego chcą nam nasą mowę wydrzyć, gdzie ino mogą, ino la tego, ze nam nieba zazdroscą. Przecie chłop, cy on będzie po polsku gadał, cy po miemiecku, to pracował będzie za jedno, ale jak polską mowę straci, to i niebo straci a tego mu Miemcy zazdroscą.

La tego tez teraz Śwabiska wyciągnęli łapy na Śląsk, aby nam mowę wydrzeć. To ino mnie ciesy, ze Polacy, to twarde ludzie: pocynają się zbirać, radzić i Śwabom figę pokazywać. Opowiadali mi gospodarz, jak to ładnie było w Trzcianie pod Rzesowem i tak się mi ta wieś spodobała, ze jakbym pisać umiał, tobym się tam zaraz za pisarza zgodził.

Jedna ino bieda, ze z pisaniem idzie mi okrutnie koślawo — próbowałem w prawy ręce trzymać pióro, próbowałem w lewy, a nawet w zębach, ale ani rus nijakiego kockodona nasmarować. Gospodarz padają, ze po miemiecku łatwiej smarować, ale ja temu nie wierzę, bo kiedy ich gadanie jakiesik koślawe, to i pisanie musi być koślawe. Gospodarz padają, ze w miemieckim pisaniu stawia się lagę koło lagi, jak dranki w płocie, ale jakby to prawdą było, to pan organista pisałby po miemiecku, bo mu po polsku kiepsko idzie.

KRONIKA.

(K. T.) **Jubileusz kapłaństwa.** Dnia 15 sierpnia odbyła się w Gręboszowie, w powiecie dąbrowskim, uroczystość parafialna, albowiem Przew. ks. Piotr Halak obchodził 25-lecie probostwa. Kościół i plebanię udekorowano zielenią. Ks. Jubilata przeprowadzono w procesyi z plebanii przy udziale muzyki z Bolesławia. Sumę odprawił ks. Jubilat przy asystencyi licznego kleru. Zacny to kapłan — cześć jego pracy!

Krzyż grunwaldzki w Glowie. W niedzielę dnia 20 sierpnia, odbyło się w Glowie nad Dunajcem uroczyste poświęcenie krzyża kamiennego, ufundowanego przez członków gminy na pamiątkę wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem. Po poświęceniu krzyża, dokonanem przez ks. Kołodzieja, katechety z pobliskiego Radłowa, w przystępnych i jędrnych słowach przedstawił p. Daniec, pocztmistrz z Radłowa, historyę i znaczenie bitwy grunwaldzkiej, poczem po pięknej deklamacyi Hanusi Białownej, córeczki radłowskiego adwokata i po przemówieniu p. Wikieraka, właściciela sklepu w Glowie — odegrano »Chłopów arystokratów« Anczyca.

Teatr włościański T. S. L. w Zaborowiu. Dnia 20 sierpnia odbyło się w Zaborowiu nad Wisłą staraniem teatru włościańskiego Tow. Szkoły Ludowej przedstawienie, w którego skład wchodziły: »Flisacy«, obraz ludowy Anczyca, oraz »Swaty« komedya L. Rzepeckiej. — Wzorowe odegranie przyjętych ról spotkało się z żywem uznaniem i hucznymi oklaskami licznie zebranych włościan z rodzinami.

(J.K.) **Przedstawienie amatorskie.** D. 20 sierpnia odbyło się w Busku, w sali Kasyna miejskiego, przedstawienie amatorskie, staraniem Kółka dramatycznego Sokoła. Na program złożyły się dwie komedyjki jednoaktowe a mianowicie »Wdowa z musu« i »Z rozpaczy«, a nadto ładnie odśpiewany duet dwóch włóczęgów i monolog kandydującego kandydata na posła. Sala była wypełniona publicznością. Czysty dochód wynosi około 80 kor. Sokół w Busku z początku dawał słabe znaki życia; dopiero teraz, pod kierunkiem energicznego prezesa p. Dolińskiego, zaznaczył swą żywotność. I tak: wydarł niemal z rąk żydowskich na sokolnię przepiękną jednopiętrową willę z parkiem za 33.000 koron. — W parku tym odbywa się prawie co niedzieli zabawa przy muzyce, gdzie tutejsi mieszczanie mile czas spędzają, nie dając przez to zarabiać szynkom żydowskim. Urządził też Sokół w tym roku kilka festynów, zaprowadził ćwiczenia panienek, brał udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Dwernickiego w Łopatynie, zawiązał Kółko dramatyczne, które daje w roku kilka przedstawień, nadto wybudował piękną kręgielnię, ściągając wszystkich amatorów kręgli do siebie, z ohydnej wprost kręgielni żydowskiej. Rozwijającemu się Sokołowi życzymy »Szczęść Boże!« we wszystkich szlachetnych zamiarach

Grady na Pokuciu. Pokucie galicyjskie, graniczące z Bukowiną jest okolicą, w której z całej Galicyi najczęstsze są gradobicia. Rok bieżący potwierdził zupełnie ten wniosek statystyki. Między Stanisławowem a Kołomyją burze gradowe zniszczyły zupełnie plony. Ziemianie tamtejsi nie pokryją nawet kosztów uprawy pól.

(W. Ż.) **Dwa razy przejechany przez pociąg.** Między Laskową a Trzebieńczycami pociąg mieszany, jadący ze Spytkowic do Wadowic, najechał na Jana Folgę z Laskowej, miażdżąc go w okropny sposób. Jan Folga, człowiek z pewną inteligencyą, bo posiadał kilka klas gimnazyalnych, miał ten brzydki nałóg, że zaglądał często do kieliszka. — W dniu 23 sierpnia, pomimo sprzeciwiania się żony, poszedł do Zatora, gdzie wziął zadatku na owoce 2 korony i pieniądze te przepił. Wracając po pijanemu do domu torem kolejowym, nie usłyszał nadchodzącego pociągu i dostał się pod jego koła. Ponieważ było to o godzinie 8 wieczór, więc nikt ze służby kolejowej nie zauważył nieszczęśliwego, wobec czego Folga leżał na torze do dnia następnego. 24 sierpnia między godziną 5 a 6 rano, przejeżdżał inny pociąg i ten najechał powtórnie na trupa nieszczęśliwego, rozszarpując zwłoki jeszcze okropniej. Zauważyli to maszynista i banmistrz, zatrzymali pociąg, ale pomocy zabitemu żadnej dać nie mogli, gdyż były już tylko zimne zwłoki. Na miejsce wypadku zjechała komisya sądowa.

(J. K.) **Studenci na wakacyach.** Zapewne, że najdroższym skarbem i jedyną pociechą dla rodziców są ich dzieci, o które ciągle się troskają. — Ale nietylko rodzicom, lecz i biednej naszej Ojczyźnie są dzieci, młodzież polska, jedyną nadzieją. — Jednak nie wszelka młodzież polska rokuje, co do zdrowia, jak najlepsze nadzieje, a szczególnie ta, która mieszka w większych miastach, w ciemnych i wilgotnych pokoikach. Aby tę młodzież uratować i dodać jej sił, by kiedyś w przyszłości mogła dzielnie pełnić obowiązki obywatelskie, wysyła, między innemi towarzystwami, polskie Towarzystwo Pedagogiczne we Lwowie co roku 80 chłopców do Huty Korostowskiej. Tegoroczny 40-dniowy okres kolonijny zostawił w młodych sercach wiele a wiele miłych wspomnień. Chłopcy oddychali świeżem powietrzem, chodzili po górach, zachwycając się ich pięknością i ochoczo zbierali maliny i borówki, używali kąpieli słonecznej i rzecznej, grali w piłkę, a przy wielkiej swobodzie i obfitym a dobrym wikcie zawsze byli weseli. Co dnia śpiewali pieśni patryotyczne, rozniecając w swych młodych sercach iskrę miłości ojczystej ziemi; uroczyście obchodzili rocznicę narodową, nadto zwiedzali elektryczny tartak w Demni koło Skolego, jeździli do Skolego na festyn, z podziwem przyglądali się sztuczkom kuglarskim p. Hendelskiego, którego specyalnie dla kolonistów, kierownik kolonii, p. dyrektor Michał Mucha zaprosił. Jednem słowem młodzież rozkoszowała się. To też gdy odjeżdżali do domów ze smutkiem żegnali ukochane góry polskie. A odjechali wszyscy pokrzepieni na ciele i na duchu, zaopatrzeni w świeże siły do dalszej pracy nad książką. Dziesięcioletniemu kierownikowi tej kolonii, p. dyrektorowi Michałowi Musze, który ojcowskiem sercem opiekował się kolonistami, należy się jak najserdeczniejsze podziękowanie, jak niemniej panom nauczycielom, którzy ciągle z chłopcami wszędzie chodzili i czuwali.

(B.) **Pożar.** Dnia 17 b. m. wybuchł pożar na obszarze dworskim o godz. 3 popoł. we wsi Stanin, w powiecie kamioneckim. Wskutek silnego wiatru, ciągnącego na wieś, poszło z dymem kilkanaście zabudowań gospodarskich, wraz z obszarem dworskim. Szczęście łaski Bożej, że wiatr się w tej chwili nieco umiarkował, bo byłaby cała wieś w kilku godzinach niemal spłonęła. Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z młocarnią parową, umieszczoną obok stodoły na obszarze dworskim, właściciela niejakiego Rafała Rapaporta, żyda. Szkoda ogólna wynosi około 165.000 kor., przeważnie ubezpieczona.

Żywcem spalony żebrak. W parafii Bestwina, koło Białej, odbywał się przed tygodniem odpust, na który, jak zwykle, przybyły tłumy wiernych i cała falanga żebraków. Po odpuście odprawili sobie według zwyczaju porządną ucztę z wódką i piwem w szynku. Toteż nic dziwnego, że jeden z »pobo-

żnych« żebraków, nie mogąc o własnych siłach dojść do domu, zaprosił się na noc do stodoły fabrykanta garnków. W nocy powstał pożar, a ponieważ stodoła była zamknięta na kłódkę, żebrak spłonął w niej żywcem.

(J. K.) **Samobójstwo.** Dnia 25 sierpnia powiesiła się na postronku w Busku, na Niemieckim boku, dwudziestokilkoletnia panna Emilia Pikulska. Samobójstwa dokonała w stajni, około 5 godziny rano, a powiesiła się tak nisko, że kolanami ziemi dostawała. Wiszącą a względnie zaczepioną na postronku, bo stała na ziemi w postawie nachylonej, pierwszy zobaczył ojciec i, nie wiedzieć z jakiego powodu, zamiast córkę ratować, wyszedł na ulicę i szukał świadków, aby widzieli, że córka jego powiesiła się. Przyczyną samobójstwa była następująca historya: Matka nieszczęśliwej prowadziła pewien proces, który przegrała, a że nie miała na razie z czego zapłacić kosztów tego procesu, sąd na mocy prawa zabrał jej maszynę, aby ją na licytacyi sprzedać. A ponieważ matka nie chciała stracić tej maszyny, więc poczęła namawiać swą córkę, by przysięgła, że maszyna jest jej własnością, co było wielką nieprawdą. Obawa córki więc, że matka zmusi ją do krzywoprzysięstwa, a do tego macosze obchodzenie się matki z rodzonem dzieckiem stało się przyczyną, że biedna dziewczyna życie sobie odebrała. Cała więc wina śmierci nieszczęsnej dziewczyny spada na nieuczciwą i wyrodną wprost matkę. Smutno i przykro bardzo, że jeszcze tacy ludzie na świecie się znajdują.

(K. T.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Z Otfinowa, w pow. dąbrowskim, 16 b. m. po deszczu jechał gospodarz z furą owsa popod rampę kolejową. Na wale, drogą, przechodził wyrobnik J. Kocoł z kosą. Gospodarzowi konie się spłoszyły i najechały tegoż wyrobnika, łamiąc mu żebra i głowę. Odwieziono nieszczęśliwego w stanie nieprzytomnym do szpitala w Tarnowie.

(K. T.) **Ostrożnie z ogniem.** W Oleśnie, w pow. dąbrowskim, dzieci pasące bydło zapaliły ognisko. Gdy im ono przygasło, poszły dzieci coś uzbierać, zostawiając 5-letnie dziecię przy ognisku. Gdy starsze dzieci odeszły wiatr zawiał, na dziecię, zapalając na niem sukienkę Zanim przybiegli chłopcy, zastali ciężko poparzone dziecię, które w parę minut ducha wyzionęło. Oto skutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Porady w sprawach ogrodniczych. Zbliża się czas najlepszy do sadzenia drzew i krzewów owocowych, do zakładania sadów. Często się zdarza, że ten lub ów z gospodarzy radby u siebie sadek założyć, lecz nie wie dobrze, skąd dostać drzewek dobrych a tanich, często nie umie poradzić sobie z posadzeniem ich, tak że rok za rokiem schodzi, a o sadku tylko się myśli, a nie zakłada, bo nie wiedzieć, gdzie się udać z kupnem potrzebnych drzewek, albo chociażby po poradę w rzeczach sadowniczych. Żeby temu zaradzić instruktor Towarzystwa Ogrodniczego krakowskiego w dnie targowe, tj. we wtorki i piątki, przez wrzesień, październik i listopad od godz. 9 rano do 12 w południe będzie urzędować w kancelaryi Towarzystwa w Krakowie przy ulicy Gołębiej nr. 18 na parterze, wejście z bramy i tu każdemu interesującemu się będzie udzielał bezpłatnie rad i wskazówek we wszystkich sprawach, tyczących się sadownictwa i warzywnictwa.

Nie w każdym interesie i nie każdy, szczególnie kto jest ze stron dalszych, może przyjechać do Krakowa, aby tu się z instruktorem zobaczyć i poradzić. Jeśli chodzi o poradę w sprawach nie tak wielkiej wagi, można porady zasięgnąć listownie. Adresować należy na nazwisko instruktora tak: Józef Tacikowski, instruktor, Kraków, ul. Gołębia 18. Gdyby zaś chodzić miało o założenie u którego z gospodarzy sadu większego, choćby na 1 morgę, albo wogóle o rzecz większej wagi, bo pociągającą za sobą koszty spore, a wymagającą większej znajomości, n. p. o założenie szparagarni czy truskawczarni itp, wtedy instruktor po porozumieniu się ustnem czy listownem, gotów jest na swój boszt koleją na miejsce przyjechać i tu po obejrzeniu gruntu i zbadaniu warunków wszelkich udzielić odpowiednich rad, zarządzić i pokierować robotami. Do kolei zainteresowany musi w takim razie przysłać konie.

Wszystko co tu napisane zwrócone jest do gospodarzy małorolnych, włościan z powiatów zachodniej Galicyi: krakowskiego i podgórskiego głównie, a potem chrzanowskiego, bialskiego, myślenickiego, wadowickiego i żywieckiego. Instruktor ogrodniczy tak samo, jeśli chodzi o rozbudzenie ruchu i zamiłowania do ogrodnictwa w tej lub owej wsi, po porozumieniu się z parafią czy gminą, szkołą czy Kółkiem rolniczem urządzi odczyty czy pogadanki z zakresu ogrodnictwa, urządza wycieczki ogrodnicze itp.

Niezwykłe drogowskazy. Wszystko starają się obecnie ludzie upiększać, czynić miłem dla oka i niezwykłem. Na Śląsku znajduje się w pewnej okolicy drogowskaz wykonany z drzewa odpowiednio pomalowany a przedstawiający brodatego wieśniaka z fajką w zębach, trzymającego w ręku kosę, na której znajduje się napis dokąd droga prowadzi.



Drugi drogowskaz stanowi figura chłopca szkolnego, który ma na piersiach tabliczkę z napisem miejscowości. Kierunek jej wskazuje wyciągniętą lewą ręką. Obrazki nasze przedstawiają te ciekawe drogowskazy.

Skutki walk narodowościowych. Wiadomo, jak zaciętą prowadzą walkę narodową Czesi z Niemcami w Austryi. Agitacya przedostała się również do wojska; żołnierze Niemcy i Czesi są dla siebie tak wrogo usposobieni, że niedawno w drodze na manewry między czeskimi a niemieckimi żołnierzami przyszło w restauracyi do krwawej bójki. Żołnierze zaatakowali się nawzajem szablami i bagnetami. 32 żołnierzy jest rannych. Kompania piechoty, wezwana do zaprowadzenia porządku, musiała bagnetami rozpraszać walczące strony.

Nieporadny rezerwista. Niejaki Hanslib z Kładna, w Czechach, trudniący się furmanką, przybył na ćwiczenia wojskowe z wozem i końmi, tłumacząc się, że nie wie, co z niemi począć. Odesłano go do domu z poleceniem, by w ciągu 24 godzin wrócił bez koni i wozu. Gdy nie uczynił temu zadość, żandarmi odstawili go do wojska, a wóz i konie oddano gminie do przechowania.

Chrzty żydów w Wiedniu. Jak wiadomo, Wiedeń należy do miast, w których najwięcej żydów porzuca swą religię. Według ostatnich obliczeń w latach 1873—1887 było przeciętnie chrztów rocznie

246; w latach 1893—1897 przeciętnie rocznie 420; w latach 1903—1907 chrztów było 608. Wśród przechrzczonych przeważają zawsze mężczyźni.

O kawałek sznura po wisielcu. Podczas wykonania wyroku na mordercy Stefanie Szalma w Szegedynie, na Węgrzech, przyszło do ogromnie hałaśliwych wybryków. Przy egzekucyi było obecnych 200 oficerów, wielu dziennikarzy i mnóstwo publiczności obojej płci. Kiedy egzekucyę wykonano i zwłoki zbrodniarza złożono na ziemi, obecni poczęli napierać na kata, aby dał im kawałek sznura z wisielca. Kat uczynił temu zadość i w ten sposób zarobił kilkadziesiąt koron. Ale natłok robił się coraz większy, tak że wreszcie przewodniczący sądu kazał tłumy siłą usunąć z dziedzińca. Hałas i awantury trwały jeszcze przed budynkiem sądowym. Na ulicy znajdowało się wiele eleganckich pań, których na miejsce stracenia nie wpuszczono, które również domagały się od kata po kawałku sznura, ale kat już cały sznur przedtem wysprzedał. Okazuje się, że przesądy i wierzenia, złączone z posiadaniem odrobiny sznura po powieszonym zakorzenione są także między oświeconemi warstwami, nietylko wśród ludu na Węgrzech.

Świętokradztwo. W kościele św. Krzyża w Łodzi dokonano zuchwałego świętokradztwa, mianowicie skradziono z wielkiego ołtarza krzyż, kielich, parę lichtarzy oraz różne drobne przedmioty złote i srebrne. Sprawcę świętokradztwa już wykryto. Jest nim posługacz kościelny, Stefan Aleksandrowicz. Został aresztowany i oddał skradzione przedmioty.

Pokąsani przez wściekłe psy. W Sulejowie, w Królestwie Polskiem, pies wściekły pokąsał dziewczynę, której nie wysłano do zakładu leczniczego w Warszawie, uważano to bowiem za zwykły wypadek. Tymczasem dziewczyna owa zachorowała na wodowstręt i zmarła w strasznych atakach cierpienia. Podczas tych ataków chora pokąsała matkę i kilka osób z otoczenia. Teraz dopiero przekonano się o strasznych skutkach pogryzienia i odesłano pokąsanych do Warszawy.

W Sosnowcu, osadzie fabrycznej, w Królestwie, pies wściekły pokąsał 52 osoby. Kosztem fabryk oraz magistratu wysłano wszystkich do lecznicy w Warszawie.

Niezwykła ucieczka więźnia. W nrze 32 »Roli« pisaliśmy o osobliwej ucieczce z więzienia w Moskwie aresztanta nazwiskiem Wojnow. Pomysłowy ten opryszek podczas zwykłej przechadzki po podwórzu więziennem wkradł się do kaplicy przedpogrzebowej, tam położył się na leżącym w trumnie nieboszczyku, przykrył całunem, a nazajutrz nad ranem wyszedł z kaplicy i wyśliznął się z podwórza na miasto.



Obrazek nasz przedstawia, jak śmiały przestępca wchodzi do trumny, aby położyć się na trupie. Gazety moskiewskie donoszą, że Wojnow jest niebezpiecznym włamywaczem, często odsiadywał dłuższe kary w więzieniu i często również w sposób niezmiernie zręczny stamtąd uciekał. Ale schowanie się na noc do trumny, mieszczącej ciało zmarłego, było sposobem, jakiego dotąd nikt nie użył.

Ile przepija rosyjski robotnik? Pewien redaktor w rozmowie z zajętym przy budowie domu murarzem dowiedział się, iż ten przepija rocznie około 60 rubli, żona zaś jego wydaje na wódkę około 40 rubli. Dochód zaś ich wspólny wynosi 240 rubli rocznie. Oto przyczyna nędzy ludu rosyjskiego, który słynie z pijaństwa.

Wędrówka niedźwiedzia po mieście. — W Szpandawie, w Prusiech, pewnej nocy zakłócił mieszkańcom spokój niezwykły awanturnik. Nie upił się, nie pobił się z nikim, lecz dziesiątki mieszkańców z jego powodu zerwało się z łóżek, zaalarmowano policyę w znacznej liczbie, a kilka kobiet zemdlało ze strachu. Awanturnikiem tym był niedźwiedź, którego przewożono koleją. Wagon towarowy, w którym się znajdował, został przez noc na stacyi w Szpandawie, a niedźwiedź, widocznie głodny, wyłamał pręty klatki i wydostał się na miasto. Na jednej z ulic wszedł przez niedomknięte tylne drzwi do restauracyi, gdzie na ladzie stały różne przekąski. Wszedł nieostrożnie, przewracając stoły i stołki, przez co powstał piekielny hałas.



Właściciel, który ułożył się już do łóżka i zasnął smacznie, zbudził się i przerażony sądził w pierwszej chwili, że do restauracyi włamali się złodzieje. Odpowiednio do swego przypuszczenia zaczął przeraźliwie krzyczeć: chwytać, łapać mordercę! Zbiegli się sąsiedzi i uzbrojeni w laski i rewolwery rozpoczęli pościg za zbrodniarzem, którym był niedźwiedź. Niepoczciwy awanturnik odstawiony został, jak każdy inny złoczyńca, na... inspekcyę policyjną i osadzono go, podobnie jak dwunożnego złodzieja, w areszcie, gdzie pozostawał aż do naprawienia klatki. Obrazek nasz przedstawia, jak niedźwiedź gospodaruje między zakąskami w restauracyi, a wystraszony gospodarz spostrzega ze strachem i zdumieniem, jaki to gość nawiedził jego gospodę.

Pruski rygor wojskowy. Przed sądem wojskowym w Berlinie stawał szeregowiec pruski, oskarżony o nieposłuszeństwo. Rozchodziło się o to, że tonąc w szkole pływackiej, uchwycił się belki i nie puścił jej, mimo rozkazu feldwebla, który kazał mu pływać dalej, a za to, że żołnierz wbrew rozkazowi omal nie utonął, skopał go butem do krwi. Żołnierz tłómaczył się, że był zmęczony i nie mógł w żaden sposób płynąć dłużej, tem bardziej, że kilka razy napił się wody i szedł na dno. Mimo to sąd skazał szeregowca na areszt; wyjątkowo dostało się także kilka dni aresztu nieludzkiemu feldweblowi, który taki niemądry wydał rozkaz.

Kochający mąż. Żona pewnego wieśniaka włoskiego leżała w szpitalu chora na nogę, w której z powodu nieszczęśliwego przypadku brakowało kawałka ciała i część tę należało wstawić. Mąż chorej oświadczył zaraz gotowość poświęcenia kawałka swego ciała na zagojenie rany małżonki — i lekarz dokonał operacyi, wycinając z pleców jego część ciała, którą natychmiast przyłożono żonie do rany. Dzielny człowiek pozwolił się przy tem uśpić — i nie drgnął, gdy nóż chirurga operował jego ciało. Zarówno mąż, jak żona, znajdują się obecnie na drodze do wyzdrowienia.

Wspólny grób w skalnej przepaści. Organista z wioski Nunningen w Szwajcaryi przewoził zwłoki swej żony, zmarłej w szpitalu, z pobliskiego miasteczka do swej wsi. Po drodze wóz ze zwłokami wpadł w przepaść głęboką a za nim i stroskany wdowiec. Mieszkańcy z trudem dotarli na dno przepaści, gdzie znaleźli organistę z roztrzaskaną czaszką, leżącego obok zmiażdżonego wprost trupa żony. Opodal leżały szczątki wozu i zabite konie.

Pożycie małżeńskie w grobowem milczeniu. O ciekawym wypadku donoszą gazety paryskie. Oto pewien urzędnik, dziwak aż do waryacyi, postanowił przed trzema laty nie mówić wcale do żony i porozumiewać się z nią jedynie w formie obwieszczeń, przybijanych na ścianie jadalnego pokoju. Powziąwszy to postanowienie, nie mówił już odtąd z nią wcale, a po paru dniach przybił w jadalnym pokoju pismo, które zawierało kilka paragrafów: 1) każde z nas żyje na własny koszt; 2) ja płacę jednę połowę ogólnych wydatków, moja żona drugą; 3) jako ogólne wydatki uznane będą te tylko, które ja za takie uznam; 3) płacić będę tylko te rachunki, które uznam za warte płacenia; co do innych załatwiać je będzie żona; 5) posługaczka ma przychodzić na godzinę dziennie.

Od maja 1898 r. życie »wspólne« toczyło się w grobowem milczeniu. Co chwila żona znajdowała na ścianie jadalnego pokoju nowy paragraf. Przed paru miesiącami wyczytała na ścianie dwa słowa: »Adelo, odchodzę«. Jakoż zwaryowany małżonek odszedł i już nie wrócił — ku radości żony, która też wniosła podanie o rozwód. Sąd przyznał go na jej korzyść.

Oświadczyny w Holandyi. W niektórych okolicach Holandyi oświadczyny o rękę dziewczyny odbywają się w następujący sposób: Zakochany młodzieniec, gdy chce się dowiedzieć, czy wybranka jego serca odwzajemnia mu się w miłości, nie potrzebuje odnosić się do niej słowem, by otrzymać odpowiedź. Idzie on pod drzwi mieszkania ukochanej i puka do nich trzykrotnie. Gdy drzwi się otworzą, a oczekiwane dziewczę ukaże się w nich, prosi młodzieniec o ogień do papierosa. Zwykle prośba młodzieńca zostaje spełniona, jednakże celem otrzymania ostatecznej odpowiedzi, musi zakochany zgłaszać się po ogień trzy razy. W niepomyślnym dlań wypadku dziewczę zamyka mu drzwi przed nosem, co oznacza, iż wszelkie zabiegi o pozyskanie serca dziewczęcia są bezcelowe. W pomyślnym zaś wypadku młodzian otrzymuje za każdym razem ogień, a wreszcie zaproszony zostaje do domu, gdzie musi zapalonego świeżo papierosa wypalić w milczeniu. Następnie dopiero podaje mu dziewczę drugiego papierosa, którego sama zapala. Co kraj, to obyczaj!

Czterdzieści dni suszy. Anglia spragniona jest dżdżu, jak kania. Już od czterdziestu dni na całej powierzchni tego kraju nie spadła ani jedna kropla deszczu. Liście więdną i opadają z drzew, nawet z najwytrwalszych — z dębów, jak w październiku. Parki londyńskie są nie zielone, lecz żółto-szare. W niektórych okolicach ziemia pęka, szczeliny są tak głębokie, że grożą całości domów i stodół. Woda zdrożała tam, gdzie ją noszą ze studni.

Wąż narzędziem zemsty. Wiadomo, że narody południowe, Włosi i Hiszpanie, są gwałtowne w uczuciach, tak w złym jak i w dobrym kierunku. Znaną jest mściwość tych ludów. Otóż przykładem takiego pragnienia zemsty jest następujący wypadek. Pewien młody Hiszpan kochał się w pięknej pannie, ale bez wzajemności. Na nic nie zdały się jego gorące prośby, zaklęcia, jego listy miłosne. »Serce nie sługa«, więc dziewczyna po pewnym czasie pokochała innego i z nim stanęła wnet przed ołtarzem. Ale wzgardzony kochanek poprzysiągł straszną zemstę kochającej się parze. Dowiedziawszy się, gdzie pojadą w podróż poślubną, w którem mieście i w którym hotelu zatrzymają się nasamprzód, udał się parę godzin naprzód do owego hotelu, zamówił jako niby ich przyjaciel, dla młodej pary pokój i ukrył w nim przyniesionego z sobą w pudle a upolowanego przedtem jadowitego węża, grzechotnika, który nazwę swą wziął od tego, że potrząsając ogonem wydaje rodzaj grzechotania.



Gdy młodzi weszli do pokoju, naraz posłyszeli grzechotanie i niespodzianie ukazał się ich przerażonym oczom straszny wróg. Wyprężył się, wzniósł łeb do góry i już, już miał się rzucić na przybyłych. Młoda kobieta z trwogi zemdlała, nowożeniec wszakże, nie tracąc przytomności umysłu, ułożył ją na kanapie, sam zaś porwał za ciężki stołek (bo broni nie posiadał żadnej) i rozpoczął rozpaczliwą walkę z wężem. Szczęśliwie utrącił go śmiertelnie ciężkim sprzętem, zanim ten zdołał go ukąsić. Gdy zemdlona odzyskała przytomność, wąż już nie żył a służba hotelowa wyniosła go z pokoju. Dzięki odwadze i zimnej krwi młodego człowieka, nowożeńcy uniknęli strasznego niebezpieczeństwa i wymknęli się z śmiertelnej pułapki, w którą zapędziła ich nienasycona mściwość zawiedzionego w miłości Hiszpana. Obrazek nasz przedstawia najgroźniejszą chwilę, gdy na spotkanie oblubieńców wynurzył się w pokoju z pośród sprzętów jadowity grzechotnik.

Podziękowanie „Wiśle". Do Szanownego Ludowego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń »Wisła« we Lwowie.

Miechocin, 19 sierpnia 1911.

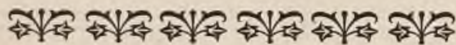
W nocy z 8 na 9 b. m. wybuchł w zagrodzie tutejszego gospodarza Wojciecha Antończyka pożar, który spalił wszystkie budynki nieszczęśliwego pogorzelca, nadto ruchomości i wszystkie ziemiopłody.

Jedynie tylko budynki były ubezpieczone w Szanownem Towarzystwie na sumę 2500 kor. Na wiadomość, przesłaną przez agenta »Wisły« o wybuchu pożaru, Szanowne Towarzystwo raczyło natychmiast wysłać swego likwidatora na miejsce pozostałych

zgliszcz celem zlikwidowania szkody a w niecały tydzień po pożarze otrzymał pogorzelec ubezpieczoną sumę, po strąceniu bardzo nieznacznej kwoty za pozostały niedopalony zrąb zgorzałego domu.

Ponieważ Szanowne Towarzystwo raczyło tak pośpiechem w zlikwidowaniu szkody, jak również sumiennem i rzetelnem przyznaniem wynagrodzenia i szybkiem nadesłaniem gotówki przyjść z pomocą nieszczęśliwemu pogorzelcowi, dlatego gmina tutejsza, w imieniu nieszczęśliwej rodziny i imieniem własnem składa na tej drodze gorące podziękowanie Szanownemu Towarzystwu staropolskiem Bóg zapłać.

Naczelnik gminy: *Stala* wr.



Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Pierwsza litera, trzecia litera,
Czytaj wspak drugą — także litera.
A kiedy złożysz wszystkie trzy w rzędzie,
Lecz druga zawsze gdy w środku będzie,
To może czytać, jak komu składnie:
Zacznie od pierwszej — tak samo zgadnie,
Jak ten, co zaczął czytać od trzeciej —
Jedno znaczenie zawsze wyświeci...
Jest to żyjąca istota w świecie
Co litość wzbudza — wszak odgadniecie!

2. SZARADA.

(Ułożył Jan Łojek z R.).

Pierwsze, to kawałek panny,
Razem z czwarten nosi student każdy,
Samo drugie w alfabecie,
Razem z czwartem w powale znajdziecie.
Trzecie wstecz czytane,
To szwabów pytanie.
Całość — mistrz u nas dobrze znany
I podczas Grunwaldu nieraz wspominany.

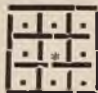
3. ZADANIE zmienne.

(Ułożył Jędrzej Czarnik z Rz.).

Z następujących słów utworzyć nowe wyrazy tak, aby ich początkowe litery dały imię i nazwisko malarza polskiego: Raki, dama, lin słoma, fara, rata, bale, maj, orka, kora.

4. GWIAZDA.

(Ułożył A. Setmajer z K.).



Ułożyć gwiazdkę, której litera środkowa ma być środkiem wszystkich słów czytanych od lewej ręki ku prawej przez środek.

5. SZARADA.

(Ułożył Józef Maśka z Z.).

Pierwsze czwarte przezwisko to brzydkie,
Pierwsze trzecie rzeczy lub ludzi gromada,
W drugie i trzecie Galicya bogata,
Razem ptaszę, które wysoko nie lata.

6. SZARADA.

(Ułożył Barszcz Mateusz z B.).

Pierwsza z trzecią znaczy tyle co ukrywa,
Druga z trzecią tak rzeka się nazywa,
Druga z pierwszą literą da dawnego
Człowieka, który jest przedstawicielem naro-
[du polskiego,
Całość zaraz zgadniecie, bo po rodzaju jaka.
A znajdziesz coś z tem u wieśniaka.

7. ZAGADKA.

(Ułożył Barszcz Mateusz z B.).

Wprost słowem wszystkim znanem,
Wstecz człowiekiem przed śmiercią nieubła-
[ganym.

8. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Józef Ralski z O.).

1) . . . * . . Rzeka.
2) . . . * . . Inaczej walka.
3) . . . * . . Małe sklepy.
4) . . . * . . Młoda kobieta.
5) . . . * . . Państwo azyatyckie.
6) . . . * . . Miasto w Galicyi.
7) . . . * . . Zwierzę.
8) . . . * . . Miasto w Czechach.
9) . . . * . . Inaczej ława.
10) . . . * . . Ptak.
11) . . . * . . Inaczej błyskawica.
12) . . . * . . Państwo europejskie.
13) . . . * . . Przyrząd do łapania.
14) . . . * . . Drzewo owocowe.
15) . . . * . . Duże drzwi.
16) . . . * . . Rzecz na naftę.
17) . . . * . . Szlachcic turecki.
18) . . . * . . Ptak.
18) . . . * . . Droga w mieście.

W miejsce kropek i krzyżyków powstawiać litery, aby te tworzyły 19 wyrazów. Litery w środkowym rzędzie czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 9 września 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 34 *Roli*: 1. Arytmogryf: **Stefan Batory,** 2. Szarada: **Lewkonia,** 3. Zagadka rachunkowa: **Zeszyt kosztował 25 hal.** 4. Kwadrat: **Adam, dama, amor, mara,** 5. Szarada: **Namuł,** 6. Zagadki: 1) **Morg-grom,** 2) **Kos-sok.**

* * *

Wierszem otrzymaliś my następujące rozwiązania:

1.

Zasłużył na pamięć i nasze honory
Dobry król Stefan Batory,
Lew groźny, koń dobry i ja
Tworzą wyraz kwiatu: lewkonia.
Adam, dama, amor, mara
Dosyć dobrana kwadratu to para.
Namuł to błoto, co woda naniosła
W przydrożne rowy bez pomocy wiosła.
Mórg będzie miarą, grom Bożą karą.
Nie gardźmy nigdy przypowieścią starą.
Wspak jestem ptakiem, więc kosem,
Wprost sokiem smacznym, smakoszem.

Józef Kulka.

2.

Sięgnijmy pamięcią w starodawne czasy
I rozważmy losy starej Polski naszej,
Stefan Batory wówczas w Krakowie panował,
Co to z Szwedami pięknie wojował.
Lewkonia kwitnie w lecie, gdy ciepło dopieka,
Namuł ciągle z wodą do morza ucieka.
Grom może uderzyć i z jasnego nieba,
A kos znów jest ptakiem, jakiego mi trzeba.
Kwadrat Jantka z Bugaja już w *Roli* widziałem
Adam, dama, amor, mara; dość już powie-
[działem.
Zeszyt jeden kosztował 25 halerzy!
Tak, ja wam to mówię, a kto chce niech wierzy.

Józef Ralski.

3.

Naród nasz polski był wolnym lat tyle
I dzielnych miał królów a między nimi
Był Stefan Batory, który w mogile
Dzisiaj na Wawelu między swoimi
Spoczywa po wielkich i ciężkich trudach.
A król ten potężny chodził po grudach
Przez dziesięcioletnie swe panowanie,
Bo nigdy nie był królem malowanym:
Wpierw Gdańsk upokorzył a Moskwie lanie
Sprawił okrutne. Dzisiaj nam stroskanym
W modlitwach dziennych trzeba prosić Boga,
By dał nam świt... i by Warszawa droga
Wkrótce zobaczyła na swoim tronie
Króla polskiego w Jagiełłów koronie.

Józef Kobylański.

4.

Wedle pierwszej dość zachodu!
Król pochodził z Siedmiogrodu,
Moskaliskom napsuł skóry,
A zwał się Stefan Batory
Życie ludzkie prędko mija,
Ładnie kwitnie lewkonia;
Podarunek dajcie mały,
Bo zeszyty podrożały,
Niech mi kupi, kto nie wierzy,
Po dwadzieścia pięć halerzy;
Adam w raju był bezpieczny,
Dla dam dosyć bywał grzeczny,
Amor, mara, dosyć tego!
Przejdźmy teraz do innego.
Wszędzie namuł jest po rzekach
Małych i dużych potokach;
Kosy po lasach śpiewają,
Gdy ludzie sok wypijają,
Mórg jest pola jeszcze mało,
Grom, bo bije bardzo śmiało,
A tymczasem huczą mury
Na weselu Maćka Bzdury!

Jan Dutka.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

Paul Szcaepan z N., Z Bogdański z I., J. Lebuda z B., Teper Fr. z M. K., J. Adamczyk z B., A. Bezokówna z K. m., J. Hirszberg z K., Jan Woś z W., Firla Franciszek z G. S., F. Markiewicz z S., J. Kobylański z M., M. Dudek z Ż., Koło »Macierzy szkol. z S., M. Strachocki z S. T.. Łukowski z T., J. Burghardt z S., Michał Bruzda z W., W. Łanoszka z S, A. Kała z Ch., A. Warchoł z Z., J. Stach z J, S. Misiewicz z Cz., Szeliga K. z B., A. Czachor z C., P. Gajoch z P., J. Pigoń z K., Puk Franc. z Ł. A. Szarek z S. W., J. A. Było z M., S. Kumięga z T, Barszcz M. z B., L. Łętowski z S, A. Żebrok z B., J. Gąsior z S., M. Knapik z N. g., Fr. Słowik z Sz., J. Krukurka z K., R. Kula z M. K., W. Pietrucha z Rz. N., J. Krawczykowa z T., W. Nowacki z Z., J. Wyzina z Z., P. Lipowiak z L., J. Inglot z S., J. Rożek z J., A. Szarek z S. W., W. Szocik z D. m., A. Zieliński z M. z.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Stare dzieje*** wylosował **p. Michał Bruzda** z W., zaś drugą p. t. ***Chudziak*** **p. Jan Pigoń** z K.

Zguba w Kalwaryi. W dniu 13 sierpnia 1911 w Kalwaryi został znaleziony pugilares z pieniądzmi, pugilares ten znalazła Maryanna Świerczek z Krasnego potockiego, oddała go Józefowi Kuci, ten miał go oddać do zarządu zakrystyi w Kalwaryi Zebrzydowskiej u OO. Bernardynów, zatem kto sobie takowy pugilares z pątników zgubił, zechce się zgłosić najpierw do zakrystyi w Kalwaryi, a gdyby ten nie był oddany, to wprost do Józefa Kuci w Klęczanach Nr. 6 poczta Klęczany pod Nowym Sączem. — Także inne czasopisma winny to powtórzyć.

Na Macierz szkolną Ks. Cieszyńskiego złożyła w naszej Redakcyi p. Henryka Zwilling kor. 2 — które przesłane będą do Zarządu głównego w Cieszynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Henryka Zwilling w T.: Utwory otrzymaliśmy i powoli wydrukujemy. Trzeba jednak popracować nad formą wiersza. Kalendarz w druku — chcielibyśmy go puścić w świat z końcem września. Cena księgarska 1 K. 20 h. Za dar dla Macierzy szkolnej w Cieszynie dziękujemy. — Adam Jesionek w Ch.: Dziękujemy — dobre. — Michał Ździebłowski w P.: Wiersze będą drukowane. Wiadomą książkę można dostać w każdej księgarni. Niech Pan napisze do księgarni Kaspra Wojnara, Kraków, ul. Szewska 20. — Józef Stelmach w Rz.: Nie przeczymy, że nadesłał Pan 2 korony na »Rolę«, ale przecież wiadomo, że 2 kor. wystarczają tylko na pół roku, wobec czego ma Pan zapłacone do 1 lipca. Wysyłamy ponownie, lecz prosimy o pamięć. — M. Więcław z N.: Nadesłane wiersze wydrukujemy, gdy miejsce pozwoli. — Piotr Lipowiak w L.: Czemu Pan nic nie nadsyła? — Jan Wyzina w Z.: Maciek dziękuje za radę i on przyszedł do tego samego przekonania, wobec czego z chłopaka rezygnuje. — Walenty Pasierb w Cz.: Dziękujemy za tak miłe pozdrowienia. Cieszy nas obietnica. Szarady dobre, więc wydrukujemy. M. Więcław w N.: Możemy polecić firmę A. Rybiński i P. Pałka, Kraków, Basztowa 19, której ogłoszenie jest w »Roli«. Niech się Pan zwróci do niej listownie a ceny firma poda. — Sajdak Franciszek w B. Nadesłane 2 K. wystarczą do końca roku; czeki na przyszłoroczną prenumeratę roześlemy w czwartym kwartale. — Andrzej Krajewski w D: Kalendarzy na 1912 r. jeszcze niema, gdy będą wyślemy. — Jan Kopka w S.: Owszem, prenumeratę na rok 1912 można i teraz nagsyłać — im wcześniej tem lepiej. Rocznik z 1910 r. wysyłamy — wewnątrz załączyliśmy czeki. — Michał Kubica w P.: Gazetka ta już nie wychodzi. Zwrot pieniędzy oczywiście Panu się należy. Trzeba się zwrócić do tego, który na ostatnim numerze podpisany był jako wydawca. On musi zapłacić. — T. J. Tabaszewski w M.: Nadesłane zagadki są zbyt znane, więc ich drukować nie będziemy. Prosimy o inne — własnego układu. — Jan Śliz w M.: Cieszy nas bardzo, że Pan rozszerza »Rolę« wśród znajomych a zwłaszcza w takich okolicach gdzie ona jest jeszcze nieznana. Kto »Rolę« raz dobrze pozna, ten zostanie jej stałym przyjacielem.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczną po dwie korony przysłali PP.:

Paliwoda Michał z B., Chrząszcz Jan z R., Krzysik Szczepan z O., Leopold Cipcia z S., Bartłomiej Cyrwus z W., Józef Seweryn Kołaciak z O., Aleksander Żądło z S., Józef Maziarz z Z., Kaim Jan z Sz, Skwara Jan z T., Adolf Kłapkowski z G., Józef Mrózek z Z., Mrugacz Teodor z J., Walenty Drożdż z Sz., Siostry Służebniczki z P., Jan Gucwa z P., Wacław Mazur z Z., Stec Paweł z U., Kasperlik Antoni z Z., Krzempek Franciszek z Z., Wdowiak Jan z K., Salawa Józef z D., Krajewski Andrzej z D., Szuster Filip z N., Stanisław Rudolf z D., Cebula Władysław z Z., Jędrzej Kołeczek z J. p., Błażej Kurek z G., Sajdak Franciszek z G., Zabijak Stanisław z U. B. Wiśniowski Franciszek z K., Tyrlik Jakób z S.

Oprócz tego nadesłali PP.: Wróbel Albin z W. (1 K.), Jan Gęza z Z. (1 K.), Józef Drzyzga z Ż. (1 K.), Lasak Jan z Ch. (1·50), Krasoń Tomasz z B. (1 K.), Pietrowicz Wojciech z G. (2·66 K.), Świerczek Józef z L. (1 K.), Koczur Wawrzyniec z K. (4 K.), Józef Uhera z L. d. (1 K.), Fryc Jan z W. B., (1 K.), Czytelnia polska z D. (1 K.), Emilian Dametz z D. (1·20 K.), Jan Wachowicz z T. (1 K.), Król Jan z W. (1 K.), Kiełtyka Jakób z S. (1 K.), Kozik Jan z B. (1 K.), Mateja Jędrzej z P. (3 K.), Baranowski Józef z M. (4·10 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 27 sierpnia:

Buhaje	Kor.	150	do	420	za sztukę
Woły	„	200	„	400	„
Krowy	„	205	„	270	„
Jałówki	„	100	„	350	„
Cielęta	„	30	„	80	„
Owce i kozy	„	18	„	20	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	160	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 27 sierp:

Pszenica	Kor.	11·65	do	12·—	za 50 kg.
Żyto	„	9·35	„	9·80	„
Jęczmień	„	8·40	„	8·75	„
Owies	„	8·—	„	8·20	„
Otręby pszenne	„	6·65	„	6·70	„
Otręby żytnie	„	6·60	„	6·70	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego